№ 78. Lwów — Czwartek dnia 6 Kwietnia. Rok 1899.

Wychodzi w dni powszednie, o godzinie 8 po południu z datą dnia następnego.

Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi: w kraju i Austryi miesięcz. 1 złr. 10 ct. w Niemczech . . . . 1 „ 50 „ w innych Państwach . 2 „ — „ Za zmianę adresu dopłaca się 20 „ Opłatę należy uiścić równocześnie z żądaniem zmiany adresu.

Prenumerata we Lwowie miesięcznie 1 zł. Numer kosztuje we Lwowie . . 4 ct. na prowincyi . . . . . . 6 ct.

Numera z poprzednich dni po 10 ct.

Wszelkie DONIESIENIA PRYWATNE o zaręczynach, ślubach, weselach, nabożeństwach żałobnych, pogrzebach, spisy ofiar i zabaw prywatnych, reklamy dla balów, odczytów i koncertów, spisy składek, doniesienia o zgubach, [illegible] przedmiotach i t. d. po 50 ct. od wiersza.

PRZEGLĄD

polityczny, społeczny i literacki.

Ogłoszenia i prenumeratę miejscową przyjmuje wyłącznie Ajencya dzienników Szkołowskiego we Lwowie Pasaż Hausmana l. 9.

Ceny ogłoszeń: Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy: wiersz petitowy albo jego miejsce 10 ct. W drobnych ogłoszeniach tłustym petitem za każde słowo 2 ct. tłustym garmondem „ 3 ct. koresp. prywatne „ „ 4 ct.

Nadesłane na trzeciej stronicy: Ogłoszenia wiersz petitowy albo jego miejsce . . . . . . 30 ct. Reklamy po kronice wiersz petit. 50 ct. Ogłoszenia nad przeglądem politycznym na pierwszej stronicy wiersz petitowy . . . . 30 ct.

Dziś: św. Celestyna — Bł. P. Boh. | Jutro: św. Hermana W. — Sob. Hawr.

Adres Redakcyi i Administracyi Ulica Sykstuska l. 45.

Naczelny Redaktor i Wydawca: *LUDWIK MASŁOWSKI.*

Wschód słońca o g. 5 m. 37 Zachód „ „ 6 m. 30

Długość dnia godzin 12 m. 53 Przybyło dnia od wczoraj 3 m.

Przegląd polityczny.

Lwów 5 kwietnia.

Na krawędzi złotych monet francuskich stoi nadpis: *Dieu protege la France* (Bóg opiekuje się Francyą). Do tej pory nikt na ten nadpis nie zważał, a najzaciętsi ateusze brali dwudziesto-frankówki bez żadnych filozoficznych protestów, tem chętniej, im więcej tego złota było. Lecz przed kilku dniami przy rozprawach nad funduszem dla mennicy jeden z deputowanych, socyalista, postawił wniosek, by nadpis ten został raz na zawsze usunięty. Posiedzenie o mało nie zamieniło się w kolegium teologiczne, bo ów wnioskodawca, jak się przy głosowaniu wykazało, był pewnym poparcia 152 zwolenników, podzielających jego oburzenie. Od wielkiej śmieszności ocalił Izbę minister skarbu p. Peytral, nie należący wcale do klerykalnych, czyli, jak się sam wyraził, nie podzielający wierzeń „większości Francuzów“, ale kierujący się zdrowym rozsądkiem, nakazującym poszanowanie dla przekonań tylu milionów obywateli. Argumentów innych także nie szczędził. Nadpis ów datuje się od konsulatu bonapartystowskiego. Za restauracyi zmieniono go na *Domine salvum fac regem*, co rewolucya późniejsza zmieniła na dzisiejszy „bardziej patryotyczny i republikański“, albowiem dwie rzeczypospolite podobnej treści nadpisów na swych monetach używają: Stany Zjednoczone na swych monetach kładą godło: „W Bogu ufność nasza“, Szwajcarya zaś po łacinie przemawia: *Dominus providebit* (Pan opatrzy). To niedorzeczne socyalistów i anarchicznych radykalistów wystąpienie dało jednak ministrowi Peytralowi sposobność do rzucenia Izbie następnej uwagi, czy rady:

„Nie razi mnie to wcale, gdy mówią, że Bóg strzeże Francyi; ale pragnę, by Francya sama umiała strzedz siebie“. Pan Peytral wygrał, bo w sprawie owego socyalistycznego wniosku otrzymał większość 295 głosów przeciw 152, ale czy Francya pójdzie za jego radą, czy się nauczy strzedz sama siebie, swych uniesień, swych blichtrów, swej manii wielkości i rozrzutności, która jej finansom zagrażać zaczyna? Czy rozsądek weźmie górę nad próżnością? Czy zrozumie, że nie wolno jej mieć podwójnych zachceń: jednego — żeby się stała tak wielkiem mocarstwem militarnem, iżby mogła skutecznie stawić czoło Niemcom — i drugiego, by jednocześnie stała się wielkiem mocarstwem morskiem, mogącem szachować Wielką Brytanią i Włochy na wszystkich morzach i na wszystkich kolonialnych lądach?

Właśnie teraz wytwarza się rozdźwięk między Francyą a Włochami z powodu umowy afrykańskiej, świeżo zawartej w Londynie przez lorda Salisbury'ego i francuskiego ambasadora p. Cambon. Dyplomacya paryska tak jest dumna z tego układu, że pośpieszyła przedstawić go swemu parlamentowi przed zakomunikowaniem go gabinetom. A właśnie w tym układzie Anglia poświęciła jeden z najżywotniejszych interesów Włoch, z któremi tak ściśle jest zaprzyjaźniona, bo mianowicie uznała, że terytorya na zachód od pustyni Libijskiej mają należeć do sfery wpływów francuskich. Z tego wynika, że i Trypolida — ta resztka dawnej potęgi Osmanów w Afryce — może się stać francuską zdobyczą. Mniejsza o Turcyą, lecz lord Salisbury, podpisując umowę swoją z Cambonem, wiedział aż nadto dobrze, że Włochy oddawna żywią apetyt na smaczny ów kąsek i tylko przez wzgląd na zasadę nietykalności Turcyi dotąd poń nie sięgnęły. W Rzymie mają przeto uczucie, jak gdyby im ktoś wyrwał kawał mięsa z żywego ciała — tak się tam oswojono już z myślą zaboru prędzej czy później Trypolidy. Zaraz po podpisaniu rzeczonej umowy angielsko-francuskiej poczęły nadchodzić z Biserty i Gadamesu wiadomości, że Francya oddawna już poczyniła przygotowania do zaboru Trypolisu, jako koniecznego uzupełnienia swojej kolonii tunetańskiej. Jednakże trudno przypuszczać, aby ów zabór mógł nastąpić niebawem, ponieważ w danej sytuacyi, przy powszechnej niechęci mocarstw do wywoływania spraw drażliwych, zasada „nietykalności Turcyi“ zapewne uszanowana będzie do czasu i przez Francyę.

W każdym razie oburzenie we Włoszech na ministra spraw zewnętrznych, admirała Canevaro, za zaniedbanie czujności, jest wielkie, tem większe, że i epizod zatargu z Chinami o zatokę sanmuńską zakończył się fiaskiem dyplomatycznem Włoch. I tu znowu Włosi zarzucają Anglii, że we własnym jedynie wschodnio-azyatyckim interesie wciągnęła Włochy w odmęt awantury zamorskiej, której ani finanse, ani marynarka ich sprostać nie zdołają. Tak to przyjaźń włosko-angielska przebywa teraz ciężką próbę. Pierwszą ofiarą rozgoryczenia we Włoszech będzie może minister Canevaro. Tak przebąkują w biurach Consulty.

Tyle sławiony humanitaryzm Unii północno-amerykańskiej nieszczególnie rekomenduje się ostatniemi czasy. Kiedy Stany Zjednoczone rozpoczynały wojnę z Hiszpanią, wmawiano w świat, że jestto wyprawa pod hasłem wolności, podjęta dla wyzwolenia z pod jarzma uciemiężonej Kuby. Łatwowierni idealiści brali to nawet za dobrą monetę i gniewali się na tych, którzy oceniali sytuacyę według rzeczywistości, nie według obłudy zmateryalizowanych milionerów. Pokazało się że ostatecznie na Kubie zamieniono tylko flagę hiszpańską na amerykańską, a wszelkie zachcianki usamowolnienia gwałtem przytłumiono; na Filipinach wre krwawa walka i żądnych wolności Tagalów mordują wojska Otisa bez miłosierdzia, paląc im wsie i miasta.

Od tygodnia toczy się w okolicach Manili zacięta wojna Amerykanie postanowili przełamać odcinające ich od reszty wyspy zastępy Tagalów i zmusić ich do stanowczej bitwy, a przynajmniej pozbyć się niewygodnego i niebezpiecznego sąsiedztwa. Odbyło się kilka bitw, w których po obu stronach padły setki ludzi. Wypadły one pomyślnie dla oręża amerykańskiego, ale nie rozstrzygają sprawy i nie przyniosły Amerykanom żadnych widocznych korzyści. Położenie ich jest, jak było, w wysokim stopniu niebezpieczne, bo cała okolica Manili pozostaje jeszcze w rękach Tagalów.

Jedynym zyskiem Yankesów z rozpaczliwych wysiłków przełamania zastępów Aguinalda, jest zdobyte doświadczenie, że Tagalowie umieją umierać bohaterską śmiercią, dzielnie władać bronią i potykać się w otwartem polu; że znają się na taktyce wojennej, budowie szańców i zasadzek i posiadają broń wyborną. Nie posiadają tej wprawy w rzemieśle wojennem, którą odznaczają się wyćwiczone w wojnie kubańskiej pułki amerykańskie, ani dostatecznej artyleryi, ale nie są nieprzyjacielem, któregoby można lekceważyć, jak do niedawna sądzono w Waszyngtonie i Manili. Armia ich jest liczniejsza od amerykańskiej, która liczy teraz 27.000 ludzi, a chociaż straty ich w każdej bitwie są nierównie większe, to po za obozem Aguinalda stoi cała ludność wyspy Luzon, tworząc rezerwę obliczaną na 100.000 ludzi. W takich warunkach widoki Amerykanów nie są świetne. Chociażby Aguinaldo odważył się na wielką bitwę i poniósł stanowczą klęskę, to wojna na tem się nie skończy, lecz trzeba będzie zdobywać osobno każdy ważniejszy punkt na wyspie i ucierać się w nieznanej gorzystej okolicy z rozproszonemi oddziałami powstańców. Będzie to wojna podobna do tej, jaką Hiszpanie przez 3 lata toczyli bezskutecznie z powstańcami na Kubie, a wojna taka kosztuje wiele ofiar i może przeciągnąć się bardzo długo.

Pomimo codziennych zwycięztw, władza Amerykanów na wyspach Filipińskich sięga tylko tak daleko, jak kule karabinowe armii lądowej. Tagalowie w żadnym wypadku nie zdołali odeprzeć ataku wojsk amerykańskich, ale zapobiegają skutecznie pochodowi ich w głąb wyspy i wspólnemu działaniu rozdzielonych w górzystej okolicy pułków. Po stronie amerykańskiej padło dotąd, według urzędowych sprawozdań, 140 ludzi, pomiędzy nimi wielu oficerów Liczba ranionych jest ogromna. Według telegramów prywatnych, liczba zabitych nie da się ściśle oznaczyć, jest jednak znacznie większa, niż twierdzą sprawozdania jenerała Otis'a. Ten jenerał zakupił 13 kanonierek hiszpańskich, które zamierza użyć w pobliżu wybrzeży, a oprócz tego spodziewa się nadejścia artyleryi górskiej, którąby w walce z Tagalami mogła oddać Amerykanom dobre usługi. Po nadejściu zapowiedzianych 6 pułków piechoty, prawie cała armia stała amerykańska znajdować się będzie na wyspach Filipińskich. Jednak na mocy niedawnej uchwały parlamentu, Amerykanie tworzą pułki nowe i z czasem będą mogli zgromadzić na archipelagu 60.000 wojska.

Lecz w samej Ameryce należy — jak donoszą z Waszyngtonu — spodziewać się poważnych rozruchów w stanach południowych. Rzekome równouprawnienie wolnych mieszkańców Ameryki istnieje tylko na papierze, w rzeczywistości zaś czarną i czerwoną ludność gnębią Yankesi i uciemiężają na każdym kroku I tak — w Palmecie, w Stanie Georgia, zlynchowano 9 murzynów, posądzonych o podpalenie, a jak się okazało, niewinnych. Ten wypadek do tego stopnia wzburzył ludność, że każdej chwili należy spodziewać się krwawych rozruchów. Ale i rządy Stanów Zjednoczonych starają się ludność murzyńską pozbawić najmniejszych przywilejów, np. prawa głosowania Dla niektórych stanów wypracowano teraz osobną ustawę. Na mocy jej nie wolno analfabetom głosować, tak samo osobom, które dnia 1 stycznia 1867 roku nie posiadały zupełnej wolności głosu; tymczasem w roku 1867 większa część ludności w stanach: Carolina, Georgia i Indiana składała się jeszcze z niewolników i naturalnie — głosować jej nie było wolno. Zakazane są również tą ustawą małżeństwa pomiędzy osobami białymi a tymi, w których żyłach więcej jak jedna-ósma krwi murzyńskiej płynie. Jak dociec tego ciekawego ułamku krwi, prawo o tem nie poucza. Jak zgadzają się podobne ustawy z konstytucyą związkową, która opiewa, że nie wolno ograniczać wolności i praw obywateli Stanów Zjednoczonych? Indyan wymordowano, murzynów lynchują i z praw wszystkich obdzierają; Kubańczykom i Tagalom niosą „wolność“, zasypując ich gradem kul armatnich i paląc ich dobytek — oto polityka purytanów amerykańskich!...

Chwila psychologiczna.

Piszą nam z Wiednia, 3 kwietnia:

„Dans ce monde, tout ce qui arrive est la moitie du temps le contraire de ce qui semblait devoir arriver“. (Na tym świecie wszystko, co się wydarza, jest w połowie wypadków wręcz przeciwnem temu, co zdawało się, iż nastąpić powinno). Gdyby to zdanie pani George Sand nie przystawało tak doskonale do życia publicznego w Austryi, należałoby przypuszczać, że nareszcie nadeszła ta „chwila psychologiczna“, w której żywioły roztropne zwrócą się stanowczo i solidarnie przeciwko warcholstwu skrajnych. Ostracyzm, dokonany na dr Grabmayerze i coraz zuchwalej szerzone hasło „Los von Rom!“ dobitny zwrot wszystkich rozsądnych i uczciwych żywiołów w opozycyjnym obozie niemieckim czynią koniecznym.

Dotąd oznaki, zapowiadające wyzwolenie się głównego obozu opozycyi niemieckiej z pod nacisku radykalnych, są jednak bardzo skromne. Ograniczają się do faktu, że z 13 postępowców, którzy w komitecie wyborczym Tyrolu głosowali przeciwko wykluczeniu p. Grabmayra, siedmiu wskutek odnośnej uchwały wystąpiło z komitetu. To jest jedyny dotykalny czyn opozycyi niejako biernej przeciwko zuchwalej agitacyi radykalistów. Zresztą same tylko słowa zapowiadają zwrot.

W zeszłym tygodniu przytoczyliśmy uwagi organu frakcyi w. właścicieli liberalnych *Montagspresse* o wykluczeniu dra Grabmayra. Jeden z postępowców, którzy wystąpili z komitetu pos. Payr uzasadnił krok ten oświadczeniem, że większość komitetu pod wpływem radykalizmu zmieniła tak pierwotny program, jako też taktykę, co jego zdaniem, prowadzi tylko do jałowości i zdziczenia politycznego życia. Równocześnie *N. fr. Presse* w artykule wstępnym, który na nieszczęście nosi fatalną datę 1 kwietnia, potępia radykalną taktykę wysadzania wszystkiego w powietrze“, tudzież *Bohemia*, która w ostatnich czasach skierowała się wyraźnie na stronę radykalną, ogłasza ostrzeżenie przed uleganiem namiętnym prądom mas, przed niecierpliwemi ambicyami i przed szkalowaniem wytrawnych współbojowników, „wychwalając postawę p Grabmayra. Oto słabe oznaki przygotowującego się zwrotu, o którego sile dowiemy się dopiero z uchwał zwołanej na 9 b. m. konferencyi sprzymierzonych stronnictw niemieckich.

Ponieważ jednak tak samo, jak w chorobie jednostek, także wobec objawów chorób politycznych, najważniejszą rzeczą jest trafna diagnoza, gruntowne rozpoznanie charakteru i ogniska choroby, przeto trzeba dobitnie zaznaczyć, że gorączka, która od dwóch lat trawi państwo, nie tkwi wcale w parlamencie, lecz w ciele wyborczem, — w szerokich warstwach ludności Pod świeżem wrażeniem skandalicznych zajść obstrukcyjnych, albo też patrzącym z daleka i nie obznajomionym bliżej ani z psychologią, ani z mechaniką konstytucyonalizmu, jak np. *Moskiewskim Wiadomościom* lub innym dziennikom rosyjskim albo... tureckim, może się wydawać, że wszystkiemu złemu winni posłowie, którzy „zabierają i pochłaniają prawa wyborców“! Gdyby w tem spoczywała przyczyna złego, byłoby bardzo łatwo przemódz chorobę. Wystarczyłoby bowiem rozwiązanie Izby, wystarczyłby apel od źle działających w parlamencie posłów do lepiej poinformowanych wyborców. Na nieszczęście choroba tkwi głębiej, bo właśnie w roznamiętnieniu mas, — wyborców. P. Wolf niedawno na niemieckim wiecu ludowym zapowiedział, że w razie ogólnych wyborów spodziewa się, że jego frakcya, licząca obecnie 7 członków, powróci do Izby o 70 mandatach. Może w tem jest nieco złudzenia, trochę blagi i dużo reklamy. W każdym razie nie ulega wątpliwości, że radykaliści pragną gorąco, aby sejm czeski czem prędzej unieważnił mandaty nie zasiadających w sejmie posłów niemieckich, ponieważ są pewni, że z tych mandatów w wyborach uzupełniających zdobędą znaczną ilość. I dalej nie ulega wątpliwości, że jeżeli radykaliści à la Wolf w parlamencie używają najskrajniejszych środków z zamiłowania w pospolitem warcholstwie, to inne frakcye niemieckie, które tę taktykę potępiają, jedynie dlatego dotąd nie odważyły się sprzeciwić jej stanowczo i wejść na odmienną drogę, ponieważ przypuszczają, że masy, wyborcy, lubują się w tej taktyce radykalnej. To wszystko razem dowodzi, że objawy dzikiego radykalizmu w parlamencie nie są przyczyną, lecz skutkiem opozycyjnego nastroju wśród mas ludności niemieckiej, i że zatem, aby nastał zwrot pomyślny, trzeba przedewszystkiem dokonać zmiany w tym nastroju wyborców.

Jest to naturalnie rzeczą o wiele trudniejszą, niż sprowadzić nową konstelacyę w parlamencie. Ku temu wystarcza czasem wniosek, jak znany wniosek hr Taaffego z 10 października 1893 r., albo znakomita mowa Ale masy, gdy ruszą w pewnym kierunku, nie dadzą się równie łatwo zwrócić na inną drogę, choćby najwłaściwszą i najkrótszą. Trzeba tedy gorliwej, sumiennej, a często długiej pracy. Jednakże nie wątpimy, że gdyby wszyscy powołani politycy niemieccy podjęli się systematycznie tej pracy w porozumieniu z rządem, który ją niewątpliwie pragnie ułatwić — czego musi pragnąć każdy szczery rząd austryacki — to sprowadzenie zmiany w nastroju ludności niemieckiej nie powinno wydawać się dziełem niemożliwem. W owej mowie, którą ściągnął na siebie gromy radykalizmu, p Grabmayr oświadczył: „Na pytanie, jakie mamy zająć stanowisko względem państwa, szczupła frakcya (radykalna) odpowiada słowami Dantego „Lasciate ogni speranza“. Dla nich ostatnim celem jest wyswobodzenie *Germanii irredenty* za pomocą katastrofy Jakie morze ekonomicznej niedoli, jakie straszne burze musiałby przebyć statek państwowy, aż nastanie ostateczne rozbicie, tego nie uwzględniają ci lubownicy polityki katastrof. Przeważnej części tych Niemców, którzy pragną utrzymać państwo, pozostaje tylko droga: zabezpieczenia narodowych praw niemieckich w danych ramach prawno-politycznych. To oczywiście wymaga zrzeczenia się wyłącznego panowania Niemców. Chcąc zachować państwo, musimy się porozumieć z innemi narodowościami Nie możemy myśleć o ich podbiciu“. Są to prawdy tak jasne i niezbite, że powtarzane częściej i ciągle szerokim kołom niemieckim, nie mogłyby nie sprowadzić koniecznego wytrzeźwienia i ochłonięcia mas z teraźniejszej gorączki. Dlatego właśnie tak ciekawą i ważną staje się kwestya, czy poseł, który śmiał te prawdy wygłosić, wyjdzie zwycięsko z walki, którą mu wydał radykalizm?

Korespondencye.

Rzym, 1 kwietnia.

Wbrew pogłoskom, szósty międzynarodowy kongres prasy, który rozpocznie tu obrady w dniu 5 kwietnia, nietylko że dojdzie do skutku, ale komitet urządzający w prawdziwym jest kłopocie, co zrobić z całą armią kongresowiczów, która z dniem każdym rośnie. Liczono z początku, że około 400 dziennikarzy zjedzie się do Rzymu, dziś już komitet przygotowany jest na 650, a kto wie, ilu ich jeszcze zgłosi się do 5 kwietnia. Nie chodzi tu już o same obrady kongresu, w którym wezmą udział tylko delegaci różnych biur i stowarzyszeń dziennikarskich, ale o wielką ucztę, jaką komitet urządza dla wszystkich dziennikarzy - gości, o wspólne wycieczki, przedstawienia galowe w teatrach itd.

Były, co prawda, małe sprzeczki, dyskusye w łonie komitetu, gdyż byli tacy, co żądali, aby komitet przedsięwziął od siebie (przed zwołaniem kongresu) kroki, celem wyswobodzenia z więzienia kilku dziennikarzy, skazanych w roku zeszłym za gwałtowne artykuły socyalistyczne. Komitet tego uczynić nie mógł, bo jego zabiegi pozostałyby bez skutku, o czem był przez rząd zawiadomiony.

Wszelkie tedy pogłoski o zbiorowych dymisyach komitetu były, jak zwykle wielce przesadne. Zdaleka rzeczy te nierównie groźniej wyglądają, niż zbliska. Skończyło się na

8)

W sprawie lekarskiej.

(Ciąg dalszy).

Wszakże Wydział krajowy, uznając potrzebę poprawy stosunków zdrowotnych, buduje nowe szpitale prowincyonalne i kreuje okręgi sanitarne, co chyba nie jest dowodem świetnego stanu zdrowotnego. Że pod wpływem tych zarządzeń śmiertelność się zmniejszyła, nie jest znowu bezwzględnym dowodem poprawy stosunków sanitarnych, gdyż mimo to choroby przewlekłe szerzą się w sposób zastraszający, mnożąc coraz więcej indywiduów, które z jednej strony nie nadają się do intenzywniejszej, produktywnej pracy, z drugiej stanowią peryodycznie powracający materyał, zalegający szpitale i obciążający budżet krajowy. Lekarze, którzy dłuższy czas przyjmowali chorych w szpitalu, mogą coś o tem powiedzieć. Wobec tego każdy przemawiający za użyciem funduszów krajowych w każdym innym kierunku, a wykluczający pomnożenie budżetu sanitarnego wydaje mi się jak człowiek, który, nie mając skromnego obiadu, troszczy się o przystawki i deser, lub jak ten, który do walącego się domu wprowadza zbytkowne meble. — Równowaga i sprawiedliwe ocenianie potrzeb kraju, nie forytowanie pewnych spraw na niekorzyść drugich równie lub znacznie ważniejszych, oto jedyna droga odpowiednia. Co się zaś tyczy opodatkowania na potrzeby sanitarne, to zdaje mi się, że społeczeństwo dawno już z własnej inicyatywy i woli uczyniło w tym względzie więcej, aniżeli kraj mógłby wymagać. Czemże są kasy chorych, jeżeli nie dobrowolnem opodatkowaniem się mającem ogólne dobro na celu. Mamy już dzisiaj kasy dla chorych rękodzielników, przemysłowców, kasy chorych kolejowe, grożą nam kasy majstrów, w niedługim czasie mają być kreowane kasy dla urzędników (np. poczty). Opodatkowanie nastąpiło tu z własnej woli w dobrze zrozumianym własnym interesie, wbrew interesom stanu lekarskiego. Czemże nazwać płace lekarzy gminnych, jeżeli nie dobrowolnym podatkiem. Chodzi tylko o to, czy ten podatek jest dobrze użyty, czy cel humanitarny został osiągnięty bez szkody dla innych warstw pracujących, czy instytucye, funkcyonujące kosztem dobrowolnego podatku, odpowiadają w zupełności celowi i czy nie stają się źródłem rozmaitych zatargów i nieporozumień, choćby tylko ze względu na formę urzędowania. Stwierdzoną jest rzeczą, że lekarze w Przedlitawii za konsultacyę członków kas chorych pobierają przeciętnie 5 –10 centów, a u nas nawet 2—4.

Stwierdzoną jest rzeczą, że urzędowanie kas chorych w stosunku do innych instytucyj obciążono całym aparatem biurokratycznych formułek, które w znacznej części tamują energię i wydatność ich działania. Do kraju lub rządu należało ująć w czas te instytucye we własny zarząd, wcielić je do ogólnego systemu służby sanitarnej i skorzystawszy z dobrowolnego opodatkowania się ludności, wywrzeć przeważny wpływ na tego rodzaju stowarzyszenia, które aż nadto często stają się siedliskiem socyalistycznych agitacyj. W ten sposób uzyskanoby okazały fundusz, do któregoby wcielić można wszystkie płace lekarzy szpitalnych i okręgowych, nadto na mocy porozumienia gminnych i miejskich, a subwencyonując fundusz ten stosownie do możności, ale stale i konsekwentnie wytworzyć jedną, jednolitą ściśle zorganizowaną służbę sanitarną, w skład której wchodziliby lekarze, jako urzędnicy krajowi. Z góry zaznaczyć muszę, że jestem zdeklarowanym przeciwnikiem dwoistej służby sanitarnej rządowej i autonomicznej i zdaje mi się, że każdy, kto sprawował jaki urząd, miał sposobność przekonać się o tem najdosadniej, jak paraliżująco na czynności urzędowe wpływa ten podział, czasem rzeczywiście trudny do ścisłego rozgraniczenia.

Kwestyą sporną i rzeczą zapatrywania mogłoby być ukrajowienie lub upaństwowienie lekarzy, ale stworzenie instytucyi sanitarnej o jednolitym charakterze przyczyniło by się nie tylko do znakomitego uproszczenia czynności urzędowych, ale zarazem przyczyniłoby się do znacznego powiększenia funduszu, biorąc w rachubę fizykaty, inspektoraty sanitarne, asystentów, lekarzy sądowych itp.

Tym, którzyby z góry zechcieli zwątpić o możliwości podobnej daleko sięgającej reformy, zaznaczę z naciskiem, że za możliwą, wykonalną, a nawet konieczną uważał ją taki znawca stosunków sanitarnych, jak śp. protomedyk Biesiadecki. Rzecz niewątpliwie wymagałaby szeregu lat, ale ostatecznie zdaje mi się, że do niej przyjść musi. A im prędzej uznaną zostanie jako sprawa bieżąca, tem lepiej, gdyż tylko ujednostajnienie i pomnożenie służby lekarskiej poprawiłoby znacznie stosunki zdrowotne. Ludność zyskałaby nietylko szybszą, doraźną pomoc, ale wogóle ciągłą opiekę, na której jej dzisiaj zbywa i której z własnych funduszów opłacić nie jest w stanie.

Zadaniem dobrze zorganizowanej służby sanitarnej prócz leczenia byłoby zastosowanie zasad hygieny do życia codziennego w najobszerniejszem tego słowa znaczeniu, hygieny tak niezbędnej, a tak po macoszemu traktowanej przez społeczeństwo nasze zarówno w teoryi, jak i w praktyce. — W ten sposób jedynie możnaby urządzić rzeczywistą policyę sanitarną, która dzisiaj z powodu niedostatecznych sił lekarskich i szablonowego traktowania sprawy pozostawia wszystko do życzenia do tego stopnia, że z powodu szerzenia się w zastraszający sposób chorób zakaźnych, a szczególnie wenerycznych zostanie niebawem zwołana specyalna ad hoc ankieta Urzędy bowiem fizykackie powiatowe i miejskie przeciążone pracą, obarczone rozlicznemi czynnościami formalnemi, mimo wszelkich wysiłków nie są w stanie podołać zadaniu tak ważnemu i tak trudnemu zarazem. Wszelkie bowiem reformy i rozporządzenia, zmierzające do poprawy stosunków zdrowotnych, najtrafniejsze i najzbawienniejsze, spadają nowym ciężarem na istniejące już i przeciążone urzędy sanitarne i dlatego nie mogą być wykonane i zastosowane, jak należy, raz z powodu braku sił fachowych, drugi raz z powodu długiego czasu, jakiego wymagają pisemne pertraktacye pomiędzy dotyczącemi władzami autonomicznemi i rządowemi.

Co się tyczy samych lekarzy to ci z chwilą upaństwowienia czy ukrajowienia zyskaliby nie tylko materyalnie, ale i moralnie. Wbrew bowiem wszelkim okolicznosciowym deklamacyom na temat szczytności powołania lekarza wbrew opinii ogólnej o niezależności ich stanowiska, trudno nie dopatrzeć wspólnego mianownika, do którego publiczność sprowadza wszystkich wogóle lekarzy. Publiczność nie wdaje się w ocenę wiedzy zawodowej, ogólnego wykształcenia i charakteru lekarza, a jeżeli się wdaje wogóle, to tem gorzej, gdyż na tym punkcie nawet najinteligentniejsi jej przedstawiciele zdradzają zupełną ignorancyę i stają nieraz na jednym poziomie umysłowym z najciemniejszym gminem Szanują lekarza o tyle tylko, o ile jest wziętym (mniejsza o to, skąd ta wziętość pochodzi), obchodzą się z nim odpowiednio do jego stanowiska, o ile go w danej chwili potrzebują, liczą się z nim, o ile rozporządza majątkiem, a wyzyskują go zawsze bez skrupułów a nawet z pewnem wewnętrznem zadowoleniem, co prawda tajonem. Nie obwijając prawdy w bawełnę przyznać należy, że należytość każdego rzemieślnika musi być prędzej, czy później wyrównaną, chociażby nawet na drodze sądowej.

Usługi lekarza, które rzeczywiście z trudnością dają się należycie ocenić i z tego powodu zależą od dyskrecyi osób interesowanych, są zazwyczaj wynagradzane niżej ceny szacunkowej, a nadto lekarz upominający się o honoraryum w sposób najgrzeczniejszy (nie mówię już o drodze sądowej), zabija się w opinii publiczności. Honorarya adwokackie lub notaryalne, jako ściśle dające się określić, bywają zazwyczaj przyjmowane i płacone bez zastrzeżeń i szemrania, gdyż każdemu wiadomo, że instytucya adwokatów jest krajową, notaryuszy państwową, że są oni do pewnego stopnia urzędnikami Jedynie lekarze nie posiadają żadnego urzędowego charakteru i stąd honorarya swoje muszą zdobywać zazwyczaj przemysłem, lub z nich celem nieszkodzenia sobie w opinii publicznej rezygnować.

Jakiż straszny krzyk oburzenia podnosi się, ile razy lekarz korzystając z przysługującego mu prawa, całkiem lojalnie z góry uprzedza pacyentów, że niżej tej, lub owej ceny nie udziela porady. Zdaje mi się, że ten sposób postępowania stanowi najkrótszą drogę do postradania klienteli W dalszym ciągu nadanie służbie lekarskiej jednostajnego urzędowego charakteru przyczyni się znacznie do skonsolidowania stosunków tego jedynego może stanu, który interesów swoich wspólnych jak dotychczas solidarnie bronić nie chce, czy nie umie.

Dr. Stefan Hensel.

(Dokończenie nastąpi).

tem tylko, że profesor uniwersytetu neapolitańskiego (filar wolnomularstwa) Jan Bovio (republikanin), oraz Barzilai (także filar franmasonów) i Socci (socyalista) podali się do dymisyi, a komitet, na którego czele stoi senator Bonfadini, organizuje w dalszym ciągu na wielką skalę przyjęcia kongresowe.

Szereg przyjęć rozpocznie wielki obiad na 650 osób, w sali Towarzystwa sztuk pięknych, na via Nazionale, bo sala balowa klubu prasy, choć wielka, nie mogłaby pomieścić tylu zaproszonych. Królestwo włoscy ukażą się na kilku przyjęciach prasy. Świetne będzie „Garden party“ w ogrodzie kwirynalskim, Teatr Constanzi wystąpi z galowem przedstawieniem „Cyganeryi“ Pucciniego, z Gemmą Bellincioni jako Mimi. Kongresowiczom pokażą wszystkie ciekawości Rzymu i wyprawią ich do Neapolu, gdzie będą powtórnie fetowani i skąd pojadą do Pompei. Zdaje się także, że rząd włoski przygotowuje dla nich jeszcze jedną przyjemność. Włoska para królewska wybiera się w tych dniach zwiedzić Sardynię po raz pierwszy od czasu wstąpienia na tron. Włoskie ministeryum marynarki przygotowało łódź i dla dziennikarzy, tak, że i zagraniczni członkowie kongresu będą mogli wziąć udział w tej wycieczce. Na wyspie na drogach żelaznych otrzymają dziennikarze miejsca w pociągu królewskim. Ale ten projekt nie jest jeszcze pewny. Zdaje się, iż około 250 pań, małżonek dziennikarzy, przyłączy się do wycieczek...

Kongres przybiera rozmiary ogromne; już dziś toczone są walki o mieszkania, bo w tym czasie Rzym i bez kongresu jest zapełniony turystami.

Królestwo włoscy nietylko że sami przyjmować będą dziennikarzy, ale opóźnili umyślnie podróż swoją do Sardynii, aby być w Rzymie w czasie obrad.

Książę Abruzzów, syn zmarłego ks. Amadeusza, byłego króla hiszpańskiego i hrabianki della Cisterna, skończył już przygotowania do swojej wyprawy do bieguna Północnego, która potrwa trzy lata i kosztować ma cztery miliony lirów. Król Humbert przyczynił się do kosztów kwotą 800.000 lirów, ks. Neapolu dał 50.000. Książę Abruzzów wypłynie z Genui na okręcie „Gwiazda północna“. Zabiera on z sobą kilku młodych przyjaciół, oraz kilku odważnych górali z Alp sabaudzkich. W Archangielsku zabierze psy, sanie i dokończy ostatecznych przygotowań. Zamiarem księcia jest puścić się z ziemi Franciszka Józefa saniami ku północnemu biegunowi. Książę Abruzzów jest już nieco obeznany z warunkami podobnej wyprawy, gdyż był przed dwoma laty w Alasce, a niedawno bawił w Norwegii i Syberyi.

Od kilku tygodni powtarzały się tu zatargi pomiędzy władzą kościelną a stowarzyszeniami, które roszczą sobie prawo do wywieszania chorągwi włoskiej w kościołach podczas nabożeństw żałobnych za duszę zmarłych członków. Duchowieństwo sprzeciwiało się temu, i stąd wynikały w wielu kościołach hałaśliwe spory, a nawet zdarzały się bijatyki, w których oczywiście zwyciężały towarzystwa. Sprawa doszła do wiadomości władzy, i ministeryum wydało rozporządzenie, według którego tylko sztandary wojskowe i towarzystw urzędniczych mają przy odpowiednich nabożeństwach być wywieszane w kościołach. Chorągwi innych towarzystw wolno duchowieństwu nie dopuścić. Rząd przyznał słuszność duchowieństwu, przekonawszy się, że towarzystwa występowały prowokacyjnie i wywoływały umyślnie spory i bijatyki, kiedy jednemu z nich odmówiono wywieszenia chorągwi w kościele. Dawniej podobne zatargi się nie zdarzały.

List do Redakcyi.

(W sprawie przeznaczenia ogrodu pojezuickiego na zabawy dla młodzieży).

Od jednego z profesorów gimnazyalnych, otrzymaliśmy następujące pismo:

Myśl, poruszona przez p. Ignacego Nikorowicza, współpracownika *Gazety Lwowskiej*, a względnie przez dr. Jordana, aby w ogrodzie pojezuickim urządzać zabawy dla dzieci, trafia mi zupełnie do przekonania. Ogród ten położony jest bowiem niedaleko śródmieścia i należycie drzewami ocieniony. Latem przebywa w nim bardzo wiele osób z dziećmi, które biegają alejami, zabawiając się wesoło; często dosyć podbiegają dzieciaki pod przechodzące osoby, które zmuszone są ustępować im ciągle z drogi, co zdaje się dla publiczności nie jest przyjemnem. Czyż nie lepiej byłoby więc, przeznaczyć pewną część trawników dla dziatwy, aby mogła swobodnie na nich się zabawiać? Praktykuje się tak prawie wszędzie we wszystkich miastach za granicą; widzieć tam można całe roje dziatwy, uwijającej się wesoło w ogrodach publicznych. Nie widać tam jednak fachowo uzdolnionych kierowników, ktorzyby zabawami kierowali; dziatwa zabawia się sama, a za jej przykładem idzie młodzież dojrzalsza, tak żeńska jak i męska, tworzą się rożne kółka i zabawa idzie w najlepsze. U nas inaczej; często widzieć się zdarza, jak dziecko, umykając jedno przed drugiem, wpada na trawnik; w tej chwili zjawia się strażnik miejski, grożąc dzieciom wzniesioną pięścią, w której, o zgrozo! tkwi pręt. Widok taki budzi w nas śmiech, a zarazem uczucie politowania, że jesteśmy jeszcze do dziś dnia na punkcie wychowania fizycznego tak zacofani. Ma się rozumieć, że dziatwa przestraszona umyka spiesznie przed groźnem obliczem strażnika, tuli się do osób starszych, a dalsza zabawa staje się jej niemiłą, bo i osoby, czuwające nad nią w ogrodzie, czynią jej za to wymówki. Wprawdzie w lecie br. ma być oddane do użytku „Sokoła“ boisko na Cetnerówce, ale tylko młodzież dojrzalsza będzie mogła używać tam ruchu i to przeważnie w zakresie gimnastyki, w ścisłem tego słowa znaczeniu. Słusznie zaś tak dr. Jordan, jak i inni hygieniści utrzymują, że gimnastyka nie zastąpi nigdy zabaw, cechujących się swobodnym nastrojem. Ma ona należyte zastosowanie w miesiącach zimowych. w lecie jednak powinna zejść stanowczo na drugi plan, ustępując miejsca zabawom. Dzięki inicyatywie i niezmordowanej pracy dr. Jordana, tysiące młodzieży korzysta dziś z dobrodziejstwa ruchu na świeżem powietrzu; park jego imienia śmiało stanąć dziś może obok tych, jakie widzieć można za granicą. Jego to zasługa, że tysiące młodzieży przebywając przez kilka godzin na świeżem powietrzu, nabywa zdrowia, wzrasta w siły, odświeża umysł przeciążony naukami, a przedewszystkiem uchroniona jest od szkodliwych zewnętrznych wpływów, na jakie byłaby niewątpliwie narażoną, gdyby ją samej sobie pozostawiono.

Że i u nas nie brak ludzi, szczerze myślących o tej sprawie, nie trzeba zdaje się dowodzić; dość wspomnieć o Związku rodzicielskim, jaki niedawno u nas powstał. Jak wiadomo „Związek rodzicielski“ rozpoczął już swoją działalność zainicyowaniem domów opieki i urządzeniem zabaw dla młodzieży szkolnej na wzgórzu za Stryjskim parkiem. Zdaje nam się jednak, że projekt ten nie jest zupełnie dobry, bo zanadto wielka odległość oddziela park Stryjski od środka miasta; należałoby więc teren tych zabaw przenieść do ogrodu pojezuickiego, a wtedy i publiczność, licznie odwiedzająca ten ogród przeważnie z dziećmi, przypatrując się ruchliwym zabawom, bardziej zainteresowałaby się niemi i coraz więcej przybywałoby uczestników. W końcu pozwolę sobie, odbiegając wprawdzie od właściwej rzeczy, wspomnieć o wycieczkach młodzieży szkolnej w czasie wakacyjnym, bo łączy się to ściśle ze sprawą, w mowie będącą. Wycieczki te, które od lat już kilku mają miejsce, należałoby również zamienić na zabawy w ogrodzie pojezuickim. Jeśli się bowiem zważy, że młodzież dopiero po godzinie 8 z rana ze szkół wychodzi, a więc przy stosunkowo wysokiej już temperaturze, dalej, iż młodzież ta zrobić musi forsowny marsz poza miasto, skutkiem czego doznaje zbytniego znużenia i traci ochotę do zabaw, jakie u celu ją czekają; w końcu, że powrót jej do miasta następuje w samo południe, między godziną 12 a 1, wtedy właśnie, gdy słońce najsilniej operuje, co ze względu na zdrowie dzieci nie jest bynajmniej wskazanem, przyjdziemy do przekonania, że wycieczki takie chybiają zamierzonego celu i zamiast pożytku, przynieść mogą szkodę zdrowiu młodzieży. Marsze takie miałyby może racyę, gdyby młodzież wychodzić mogła z miasta przed godziną 7mą z rana, a wracać przed godz. 11, lub też wychodzić po południu na krótko przed zachodem słońca, a powracać w godzinę lub dwie po zachodzie.

Tajemnice hazardu.

W dzisiejszych Niemczech, szczególnie w Berlinie i innych środowiskach życia wielkomiejskiego, ogromnie szerzy się namiętność do gry hazardowej. Ludzie nie znający bliżej tych stosunków, nie wyobrażają sobie, jak ta formalna epidemia szaleje po klubach, zebraniach towarzyskich, w kołach oficerskich itd. i ile ofiar ona pochłania. Od czasu do czasu tylko przedostaje się do dzienników wiadomość o jakimś wielkim skandalu, o zamknięciu domu gry w jakiemś miejscu kąpielowem, o tem, że znalez ono zwłoki jakiegoś obywatela, zamordowanego przez ogranych, o samobójstwie lub ruinie majątkowej szulera itp. Wiadomo, że niedawno cesarz niemiecki sam musiał wdać się w to i zabronić oficerom hazardu. Plaga ta niestety przedarła się już i do Poznańskiego i poczyna tam, jak wszędzie wywierać demoralizujący swój wpływ na społeczeństwo. O przedmiocie tym zamieścił *Dziennik poznański* szereg bardzo interesujących artykułów, nadesłanych mu przez pewną poważną osobę, znającą doskonale owe sfery, o które tu chodzi. Autor napomyka, że pojawiają się już w Poznańskiem ludzie, którzy grają „aby ratować się przed komisyą kolonizacyjną“ i z gorzką ironią porównywa ich z pewnemi indywiduami na emigracyi, które fałszowały pieniądze rosyjskie „z patryotyzmu“, ażeby osłabić kredyt Rosyi. Artykuły te mają za cel ostrzedz społeczeństwo przed grożącem mu z tej strony niebezpieczeństwem a zarazem objaśnić niewtajemniczonych, jak bardzo grasuje w karciarstwie proste oszustwo. Dowiadujemy się z nich, że niepodobna mieć stałego szczęścia w grze hazardowej. Jeżeli zatem słyszymy o jednostkach, nie posiadających majątku ani intratnych posad lub innych dochodów, a żyjących dostatnio z tego, że mają „szczęście w grze“, to możemy najzupełniej być pewni — powiada autor — że to są szulerzy, dopuszczający się fałszerstwa w graniu. Sposobów oszukiwania w grze jest całe mnóstwo, a autor opisuje je dokładnie i w sposób nader zajmujący. — Powtórzymy tu najciekawsze ustępy. Na wstępie przedstawioną jest w krótkości historya hazardu i karciarstwa. Okazuje się z tego, że publiczne domy gry powstały po raz pierwszy we Francyi, gdzie też wymyślono najważniejsze, istniejące do dziś systemy gry hazardowej. „Przypatrzmy się bliżej — powiada autor — osławionej osobistości, którą „zaszczyt stworzenia pierwszego domu gry „zdobi“; Olympia Mancini, hrabina de Soissons, dama dworu Ludwika XIV, siostrzenica potężnego ministra, kardynała Mazarin, dzierży tę „chwałę“. Ona to przeznacza swój pyszny pałac „Hotel de Soissons“ na pierwszy dom gry. Tam się zbiera śmietanka Francyi, począwszy od wszechwładnego ministra, tam doznaje w młodziutkim wieku późniejszy Ludwik XIV pięknych przykładów w swem wychowaniu. Później Olympia, skompromitowana w procesie trucicielki Voison, ucieka pod ciężkim zarzutem o t r u c i a kilku dostojnych osobistości, a między nimi i s w e g o m ę ż a, do Hiszpanii. Hotel de Soissons sprzedaje przedsiębiorczemu towarzystwu. W Hiszpanii pozyskuje Olympia zaufanie królowej Maryi Anny, żony Karola II, ale i zląd pod zarzutem zamiaru otrucia swej przyjaciółki a królowej, uciekać musi, tuła się po świecie lat kilka i w roku 1708 umiera w Brukseli w nędzy najokropniejszej, zapomniana i wzgardzona przez świat cały“.

Na wzór hotelu de Soisson powstał niebawem wysoce arystokratyczny „Hotel de Gevres“. Oba domy gry dopiero w r. 1839 za Ludwika Filipa na mocy osobnej ustawy zamknięto. Wówczas przeniosła się instytucya do Niemiec, gdzie mimo zakazu parlamentu frankfurckiego z 1848 r. istniała do 1884. Zewsząd wygnany nareszcie znalazł dom gry przytułek u książątka Monaco, wiadomo że zyski zeń nietylko napełniają kieszeń bankiera, ale też zaspokajają potrzeby księstwa.

„Przypatrzmy się — powiada autor — grom w domach publicznych. Najważniejszą tam ruleta, gra szczególniejszego rodzaju, bo prawie jedyna wśród gier, przy której bankier oszukiwać nie może. Aleć przecież dlatego bankier nie poda na pastwę setkom ponitierów swego majątku, więc gra sama musi dawać jemu szanse pewne, nieomylne. To też daje, i tak mamy tam t. zw. „manque“, które obejmuje liczby 1—18, mamy „passe“ od 19—36. Wstawiam na „manque“, kulka w rulecie wskazuje 6, więc wygrywam, bo liczba 6 jest jedną z 1 do 18; wskazuje 20 lub t. p., przegrywam. Tak daleko szanse równe, ale cóż potem, gdy do „manque“ należy też „zero“, a do „passe“ „double zero“. Gdy tu kulka padnie, nie wypłaca bankier wygranych, a zabiera przegrane. To samo dzieje się przy „pair“ i „impair“, to samo przy „rouge“ i „noir“. Przy numerach zaś od 1—36 szanse dla ponitera o wiele jeszcze gorsze“.

Następnie przechodzi autor do omówienia prostych oszustw w kartach i zaznacza, że zdarzają się one o wiele częściej, niżby kto przypuszczał. „Świat szulerski rozróżnia kilka gatunków oszustów i nazywa ich „filozofami“, „nomadami“, „tripoteurs“, „łapichłopami“, albo też „mangeurs“, „judas“, „pasożytami“, w miarę tego, jak operują. Polacy mieli też około roku 1850 swoich „byków“. Metod istnieje cały arsenał. Na czele mamy „le maquillage“, obejmujący szereg sposobów znaczenia kart. Wiadomem, jakie szanse dać może choćby jedna znaczona karta w grze; cóż powiedzieć o tem, gdy niejeden, ale wiele sposobów istnieje znaczenia tak wyrafinowanego kart, że choćbyś wiedział, że znaczone, odkryć tego nie zdołasz. Sposoby te mają swe nazwy, jak: punktowanie bądź igłą, bądź farbą, peklowanie, tarotowanie, biseautowanie. Wszystko przytem obmyślane, jak podsuwać znaczoną talię, jak dokazać, by służący takie a nie inne karty do gry przyniósł, jak wreszcie, gdyby wszystko chybiło, wśród gry karty znaczyć. „La pipe“ jestto osobne do tego celu narzędzie, którego nikt nie spostrzeże, bo wygląda tak jak ozdoba, których każdy gracz miewa po kilka

Druga metoda uczy transportowania kart; trzecia: „portées“ mówi o kartach ukrytych u oszusta i ma swoje reguły, jak „sécance“, „różaniec“, „costiere“, „finette“; czwarta uczy rozmaitych systemów oszustwa z wspólnikiem lub kilku wspólnikami, piąta „tasowania“ czyli „robienia“ kart na kilka sposobów, jak „Schwalbenschwanz“, „wachlowanie“, aby mięszanie kart nie zmieniło znanego oszustowi następstwa; szósta uczy zbierania kart, by i ten środek ostrożności nie przeszkadzał rzezimieszkowi i to znowu z pomocą tak zwanej „karty szerokiej“, „dachówki“, „mostku“. Osobny dział zajmuje się t. zw. „filage“, to jest wyciąganiem dowolnej karty, która graczowi dogodzić może. Niema wśród tych metod osławionej „volty“ dla tego, że ona dla gracza nic nie warta, choć ma, jakoby dla złudzenia „naiwnych“, najwięcej rozgłosu. Oszust w grze nie wdaje się w niepewne manewra, ale musi mieć metody, których i najbystrzejsze zmysły nie odkryją. Gdy dodam dla uzupełnienia, że istnieją reguły dla temperamentu gracza, dla jego „savoir vivre“, dla ściągania „naiwnych“ (w Berlinie świeżo odkryto całe gniazdo „Schlepperek“) i t. p., wszystkie ujęte w wyrafinowane systemy, korzystające ze słabości, z grzeczności i delikatności „naiwnych“, to naszkicowałem z lekka pole działania graczy zawodowych, czyli „grywających szczęśliwie“. W Polsce nazywają „naiwnych“ „krowami“, jako stworzenia zdatne do dojenia, a charakterystycznem też jest, że niegrywający nazywają się u szulera „mądrymi“, tak samo, jak ich „filozof“ niemiecki „Kluge“ nazywa“.

Z historyi oszukańczej szulerki, którą zresztą zbadać nie łatwo, gdyż wszystko, nawet wstyd zrujnowanego, składa się na to, by skandal pozostał w tajemnicy — przytacza autor następujące wypadki:

W roku 18[illegible] zamyka nagle policya na wniosek samego prezydującego księcia wysoce arystokratyczny klub „Cercle de Bade“ i ściga tuż za tem cały szereg rzezimieszków w Berlinie, Lipsku, Hamburgu. Odkryto podobno całe sprzysiężenie, którego celem było książątka hrabiątka „cerclu“ z pieniędzy obierać. Sprawę całą jednak traktowano jak najciszej, by jak najmniej osobistości kompromitować. W tymże roku zwiastuje światu telegram: „Ambasadora przy Kwirynale, pana Callado zdemaskowano w „Clubie della Caccia“ w Rzymie, jako oszusta w grze i z urzędu odwołano“.

We Francyi na czele szulerów oszukańczych mamy ni mniej ni więcej, jak wszechpotężnego ministra Ludwików XIII i XIV, dostojnika Mazarin. On to wymyślił piękną osłonę swego rzemiosła w długo używanem „prendre ses avantages“, które później w delikatniejsze jeszcze „corriger la fortune“ w języku szulerskim zmieniono. Miał on, prawda, przy swej chciwości i swem sknerstwie wiele sposobów bogacenia się, ale nie ulega wątpliwości, że kolos fortuny, 200 milionów lirów, pochodził w znacznej części z jego umiejętności „prendre ses avantages“, z hotelu de Soissons, utworu jego siostrzenicy. Na dworze Ludwika XIV przyjaciel jego, z urodzenia Grek „Apoulos“, bajecznie zbogacony grą, zostaje wreszcie schwytanym i na 20 lat galer i konfiskatę majątku skazanym. Szczególniejsze światło na pojęcie moralności u dworu rzuca to, że majątek ten płynie do szkatuły królewskiej, „bo z niej w znacznej części pochodził.“ Odtąd też „Grekami“ oszustów w grze nazywano, a nawet dotąd tak ich nazywają. Inny, Chevalier de Grammont, z dworu króla angielskiego Jakóba II, przyznaje w pamiętnikach swych otwarcie, że oszukiwał w grze i szczyci się zgrabnością w tem rzemiośle, twierdząc, że to słusznem każdego prawem, korzystać z swej zgrabności i talentów, któremi go natura obdarzyła, ba! pisze nawet z butą: „Niechaj potomność wie, że przed nią byli ludzie, którzy nie mniej zgrabnie umieli „corriger la fortune“, jak ona“.

Kronika niedawna berlińska wymienia cały szereg znanych, a nawet karanych „Greków“ z wyższych sfer towarzyskich pod pseudonimami, jak „Diamantenteufel“, „Herzog de Montebello“, „Der englische John“, „Reinecke“, „Cavallerist“ itd., ludzi, do których kieszeni po 180, 300, 350 tysięcy marek jednego wieczoru spływało, bo... „szczęśliwie grali“.

I w naszem społeczeństwie nie brak niestety takich indywiduów. Wedle twierdzenia pewnego znawcy i bywalca w świecie hazardu, nie ma stałego cercl'u, klubu, towarzystwa gry bez „Greka“ lub „Greków“. — „Maleńki szczegół — powiada autor — z życia sędziwego dziś człowieka stwierdza, że prywatne domy, a więc ściślejsze kółka, nie bywają wolne od tej zakały. W prywatnym, bardzo zacnym i szanowanym domu był on mimowolnym świadkiem czynu, z którego na razie sprawy zdać sobie nie umiał, a który później miał mu się wyjaśnić; na wieczerzę spóźnia się jeden z gości, a zwierciadło wiszące naprzeciw świadka wyraźnie zdradza, jak w sąsiednim pokoju za uchylonemi nieco drzwiami ów gość jedne karty usuwał, a inne na stole złożył. Sen czy mara?.. Ponieważ nasz świadek sam nie grał, nic złego w takiem towarzystwie przypuszczać nie mógł, a gościa z z najrozkoszniejszą miną i z największym spokojem do stołu siadającego spostrzegłszy, nabrał przekonania, że oczy go złudziły. Jakżeż się zdziwił, gdy wkrótce świat o graczu przebąkiwać począł, jak wstrętnemi były wieści, że „grywa szczęśliwie“, jak okropną mu była myśl, że zna go a nie ma sposobu uprzedzić o nim świata, bo sposobność ku temu była jedynie wówczas, gdy sam niczego nie przypuszczał...“

„Inny opowiada mi o graczu, którego talizmanem była srebrna tabakierka. Bez niej nie umiał grać, musiał ją mieć na stole pod ręką.... Okazało się, że czarowna tabakierka miała płaszczyznę wśród deseni tak pięknie wypolerowaną, że w niej spód ciągnionej karty jak w zwierciadle odbijał“.

W końcu autor wyraża nadzieję, że społeczeństwo polskie znajdzie w sobie dość siły, by otrząść się z nałogu gry hazardowej, który dla nas jest o wiele niebezpieczniejszym, niż dla narodów silniejszych i bogatszych. „Pewien Niemiec — powiada on — nie stracił ani morgi, zgrawszy się na giełdzie wyżej półtora miliona marek, u nas znam takich, którym strata 15 tysięcy marek starczyła na pogrążenie siebie, żony i dzieci w nędzę, a wsi w otchłań komisyi kolonizacyjnej“. Autor rozumie dobrze że nie każda gra jest zdrożną i bynajmniej nie jest tak skrajnym, jak św. Jan Kapistran (w połowie czternastego wieku), za którego wpływem na rynku krakowskim spalono narzędzia gry, — przeciwnie uznaje, że gry takie, jak wist, marjaż, szachy i tyle innych, są w wielu sytuacyach potrzebnem zajęciem, jakoteż właściwym i uprawnionym odpoczynkiem. „Nie tak rodzaj gry — powiada on — jak miara w grze czyni ją niewinną lub grzeszną. Wszelka gra, budząca chciwość lub boleść straty, nie może też być odpoczynkiem“.

Opowiadania autora odsłaniają przed oczyma naszemi ciemny punkt naszego życia towarzyskiego; oby widok ten odstręczył jak największą liczbę od demona gry hazardowej

Bohater.

Do portu nowojorskiego zawinął niedawno maleńki statek żaglowy. Długość jego wynosi zaledwie 30 stóp. U masztu powiewa zbrudzony i w strzępy podarty sztandar amerykański. Wobec olbrzymów okrętowych, które w tym samym porcie zarzuciły kotwicę, statek ten wydaje się łupiną orzecha, a jednak imię jego słynne jest dzisiaj na całym świecie i słynne jest imię tego, który w nim sam jeden świat cały objechał, urągając burzom i niebezpieczeństwom czterech oceanów. Mówię o kapitanie Slocum i statku jego „Spray“.

Było to 25 kwietnia 1895 r., gdy kapitan Slocum na swym żaglowcu maleńkim opuścił port Bostoński, aby bez niczyjej pomocy odbyć podróż naokoło świata. Kilkuset ludzi zgromadziło się na brzegu. Jedni drwili z szaleńca, inni go żałowali, nikt nie wierzył, aby śmiałek mógł sprostać zadaniu.

W 20 dni później doniosły jednak dzienniki, że kapitan Slocum przybył do Gibraltaru, a zatem łupinka jego przewyższyła szybkością wszystkie dotychczasowe żaglowce. Angielska admiralicya powitała z uwielbieniem zuchwałego awanturnika. Wyprawiano bankiety na cześć jego. Pisma zamieściły portrety żeglarza.

Zrazu postanowił kapitan Slocum płynąć dalej we wschodnim kierunku. Ale gdy doświadczeni koledzy radzili mu unikać korsarzy Czerwonego morza, zmienił kierunek i zwrócił się wprost ku straszydłu wszystkich żeglarzy, ku przylądkowi Horna. Była to długa samotna podróż, z niejednym dniem szarym i zimnym, z niejedną straszną, wichrowatą nocą. Okropna, nieprzerwana samotność! Na tysiąc mil wokoło żadnej żywej istoty — nic prócz wody i nieba.

A jednak są może rzeczy na świecie, o których nie śniło się naszej mądrości szkolarskiej. Kapitan Slocum, z natury niezmiernie trzeźwy i praktyczny yankes, miewał w swej samotności przedziwne wizye. Pewnego wieczoru np. zachorował, dostał gorączki i nie był w stanie czuwać nad statkiem swoim, choć wiatr się podniósł i groziła burza. Puścił go na Opatrzność Boską, a sam rzucił się na twarde posłanie i.. niech się dzieje, co chce! Nagle zdało mu się, że do kabiny jego wchodzi majtek w stroju starohiszpańskim, przedstawia mu się jako pilot okrętu „Pinta“ z floty Krzysztofa Kolumba i obiecuje, że sterować będzie jego stakiem tej nocy. Rzecz dziwna! Gdy kapitan przebudził się ze snów gorączkowych, znalazł, że okręt nie zmienił kierunku i że przebył w noc ową większą przestrzeń, niż kiedykolwiek.

W drodze do przylądku Horna groziły śmiałemu kapitanowi największe niebezpieczeństwa. Po trzech dniach przeraźliwej ciszy spostrzegł w dalekiej odległości, że z pozornie spokojnego morza wznosi się potężna trąba morska, która z błyskawiczną szybkością zbliża się ku niemu. Najdzielniejszym i najwytrawniejszym żeglarzom kurczą się serca wobec takiego zjawiska. Zdawało się, że nikły statek jest zupełnie bezsilny wobec straszliwej trąby, że niema dla niego ratunku. Kapitan Slocum opowiadał później przyjaciołom swoim, że sam sobie do dnia dzisiejszego nie zdaje sprawy z uczuć ówczesnych. Wie tylko, że instynktem wiedziony pospuszczał żagle i na maszt się wdrapał. Tam wisiał, gdy olbrzymia fala szła po nad statkiem jego. Ale balast okrętu był tak dobrze obliczony, tram tak doskonale zbudowany, że „łupinka“ wypłynęła bez szwanku po drugiej stronie trąby i natychmiast odzyskała równowagę.

Drugą wiadomość o losach kapitana Slocum nadesłano do Nowego Yorku z Buenos Ayres i Montevideo. Lecz potem nastało milczenie, trwające całe miesiące. Starzy żeglarze mówili: „Przejechać Atlantyk to nie sztuka, ale objechać przylądek Horna to rzecz inna. Tam sam dyabeł hula po oceanie. Wiatr wyje nieustannie jak wściekły, a morze tak się gotuje, tak kipi białą pianą, że majtkowie nazwali je zupą mleczną. Skały są ostre i poszarpane, a wyskakują w takich miejscach, gdzie ich się nikt nie spodziewa. A na wybrzeżach nagich czyhają ludożercy, straszni „Terre del Fuegans“. Błazen tylko przypuścić może, że Slocum minie szczęśliwie ten przylądek“.

Zdawało się, że stare wilki morskie, które tak posępnie wróżyły, mają najzupełniejszą racyę. Niektóre pisma doniosły nawet, że wyłowiono resztki „łupiny“.

A jednak statek zwyciężył. Kapitan Slocum dziwy opowiada o morderczych zapasach ze strasznym żywiołem. Niekiedy z największym trudem, po całodziennym wysiłku, posunął się zaledwie o 10 mil, a nazajutrz porwały go fale i znów go o 20 mil odepchnęły. Siedm razy próbował minąć przylądek i siedm razy wiatr go odrzucał. Za ósmym razem zwyciężył. Ale i teraz nie było końca utrapieniom. Ludożercy na małych czółnach otaczali go nieustannie. Lecz kapitan strzelał jak Tell i tak prażył łotkami i kulami krwiożerczych rabusiów, że nie mieli odwagi zbliżyć się do niego. Nareszcie wydobył się na spokojniejsze wody i duchy morskie, jakby przebłagane jego dzielnością, przestały płatać mu figle niebezpieczne.

Kapitan po drodze zawitał do najrozmaitszych portów. W Samoa odwiedziła go na statku pani Stevenson i obdarzyła zuchwałego żeglarza kilku ulubionemi książkami małżonka swego. W Kapstacie i w Mauritus miewał odczyty, które mu przyniosły znaczne zyski pieniężne. W jednym z brytyjskich portów wyekwipowały władze angielskie własnym kosztem jego okręt do dalszej podróży.

Po trzech latach wędrówki po morzach zbliżał się kapitan Slocum do brzegów ojczyzny Już widział przez lunetę port nowojorski gdy nagle zerwał się taki huragan, jakiego w całej podróży nie widział. Ale kapitan leżał spokojnie w kajucie swojej. W czasie trzyletniej walki z żywiołem nauczył się ufać statkowi swemu Burza nim miotała na wszystkie strony, a on ślizgał się po falach, leciał w przepaście i znów tańczył na grzbiecie bałwanów. Zwyciężył i teraz.

Po kilku godzinach kapitan Slocum przywiązał swój mały statek do tego samego słupa, od którego go przed trzema laty odczepił. Starzy majtkowie nie chcieli oczom swym wierzyć. Ale fakt był faktem. Łupinka zwyciężyła cztery oceany.

Typy kobiet.

Jeden z literatów francuskich dał następujące określenie typów kobiecych:

Przeszło od 3000 lat kobieta figuruje często w historyi. Widzimy ją w czasach starożytnych — jako niewolnicę i królowę, w czasach średniowiecznych — jako dziką, tajemniczą, często okrutną, często bezgranicznie bohaterską, zadziwiającą świat, jako władczyni lub męczenniczkę. Za niemi idą wielkie damy w szerokich sukniach XVII wieku, wyperfumowane, uszminkowane, wykwintne w każdym ruchu i słowie; następnie śmielsze i swobodniejsze w czynach, słowie, z upudrowanemi koafiurami, z plasterkami czarnemi w kącikach śmiejących się ust, z sercem zawsze gotowem do miłości. Później widzimy kobiety z czasów rewolucyi, patrzące na braci, mężów i przyjaciół walczących za kraj i same owładnięte gorączką patryotyzmu.

Tegoczesne kobiety przedstawiają kilka typów.

„Feministka“ jest typem teraźniejszości, a może więcej jeszcze przyszłości. Ona broni i oskarża, rozmyśla i bada, zwycięża mężczyznę, wykazuje jego słabość, a swoją siłę, jego małoduszność — swą wielkość. Jest praktyczną pozytywną i taktowną, z wyjątkiem tych, które wzięły sobie za cel i ideał być traktowane jak mężczyźni, naśladujące męski chód, ruch, głos, nawet ubranie

Przeciwstawiennictwem pierwszej będzie drugi typ teraźniejszej kobiety; owinięta w tiule, aksamit, wstążki i koronki, zna tylko jedną kwestyę, jedną politykę: podobać się i być uwielbianą. Ale wszystko spokojnie, bez skandalu, bez wzruszeń, bez potargania choćby jednego loczka nad czołem, bez najmniejszej zmiany programu życia. Lubi cukierki i słodycze, unika myśli poważnych i większych cierpień, gdyż pierwszych nie lubią mężczyźni, drugie — psują cerę. W jej małem serduszku jest tylko miejsce dla niej samej i jej szczęścia i dlatego najczęściej jest najszczęśliwszą istotą na ziemi.

Kobieta „niezrozumiana“ idzie przez życie, jak w tragedyi, z nadzieją lepszego końca w piątym akcie. Lubi wszystko, co tajemnicze, zagadkowe i niejasno zdaje sobie sprawę ze swych pragnień Ma często jedną żądzę — popełnić jakiś wielki czyn, a najczęściej kończy wielkiem głupstwem.

Kobieta „literatka“ jest często u wielu godną politowania. Kiedy jest zadowolona i szczęśliwa, pisze sprawozdania z mody, kiedy złośliwa — artykuły postępowe o emancypacyi i nienawiści mężczyzn — jeżeli jest feministką, statystyczne — jeżeli skończyła lat dwadzieścia dziewięć. Uważaną jest pospolicie za nie-kobietę, choćby przy toalecie jej nie brakło guzików, a na palcach nie było plam atramentowych.

Wreszcie ostatni typ — to kobieta lubiąca dom, dobrze wychowana, kochająca swego męża, choć często na to nie zasługuje, roztacza ciepło wokół siebie, jest często zaradna, oszczędna, wesoła i skłonna do poświęceń. Należy do typu tych kobiet, o których Napoleon powiedział, że można je uwielbiać, zdradzać, czasem zapomnieć — lecz będąc z nimi, nigdy nie przestać kochać.

KRONIKA.

Lwów 5 kwietnia.

Wiadomości urzędowe. Starszy inspektor powszechnego zakładu dla badania środków spożywczych w Krakowie, dr. Stanisław Bondzyński, mianowany został nadzwyczajnym profesorem hygieny na Uniwersytecie we Lwowie.

Koncepiści dyrekcyi policyi w Krakowie Józef Broszkiewicz i Michał Wolaniecki mianowani komisarzami policyjnymi.

Z Koła literacko-artystycznego. Zwyczajne walne zgromadzenie członków „Koła“ odbędzie się w sobotę, dnia 8 bm. o godzinie 7 wieczorem, w lokalu Towarzystwa.

Święcone w „Kole literacko-artystycznem“ odbędzie się w niedzielę, dnia 9 bm. o godzinie 1 z południa.

Gr. kat. probostwo w Huziejowie nadało Namiestnictwo *regiae collationis* ks. administratorowi Pawłowi Kulczyckiemu.

Składki na pomnik Mickiewicza płyną rozpaczliwie skąpo. Dnia 1 bm. sekcya finansowa komitetu budowy tego pomnika przeprowadziła szkontrum kasy i znalazła wszystkie rachunki i fundusze w zupełnym porządku, ale fundusze te, mimo, że już od dziesięciu miesięcy komitet składki zbiera, są bardzo szczupłe. Ogółem bowiem wpłynęło 14.438 zł. 96 ct., z tego zaś musiano wydać już 1591 zł. 53 ct. na nagrody za afisz i za projekty na pomnik, na koszta transportu projektów z Florencyi, Paryża itd., na cło za nie, na druki, afisze i portorya. Pozostaje tedy 12.847 zł. 43 ct., a pomnik — jak wiadomo — ma kosztować 60.000 zł. Nie ma więc jeszcze na tak skromny pomniczek dla króla poezyi polskiej ani czwartej części potrzebnej sumy.

Komitet jubileuszowy dla uczczenia stuletniej rocznicy urodzin Klementyny z Tańskich Hoffmanowej, wyznaczył dzień 5-ty maja na uroczysty obchód tej pamiątki. Deputacya pań złożyła na ręce inspektora Tokarskiego prośbę o udział gremialny

szkół wydziałowych żeńskich w solennem nabożeństwie i ceremonii poświęcenia tablicy pamiątkowej w kościele archikatedralnym obrz. łacińskiego, oraz wniosła podanie do Rady miasta Lwowa o nadanie jednej z ulic naszego grodu imienia Klementyny Hoffmanowej. — Komitet zwraca się z gorącym apelem do Polek, aby spieszyły ze swymi, choćby najdrobniejszymi datkami dla przysporzenia funduszu na koszta tablicy, pomnąc, że ta pamiątka wzniesioną być winna za oszczędzony grosz niewiast i dziewic polskich, jako duchowych spadkobierczyń tej, która uczyła słowem i czynem, jak mamy kochać ojczyznę i wiarę. Panie, które raczyły przyjąć listy składkowe, zechcą przyspieszyć i rozwinąć działalność swoją. Listy te, jako też wszelkie na ten cel ofiary składać należy u skarbniczki komitetu, pani Wiktoryi Niedziałkowskiej, ul. Kościuszki l. 14 we Lwowie.

„Wnętrze", sztuka Maeterlincka (Das intime Theater), o której wystawieniu doniósł w sobotnim numerze *Przeglądu* nasz korespondent berliński, była — jak zauważa *Czas* — już grana w Krakowie dnia 20 lutego. A więc scena polska wyprzedziła niemiecką w wystawieniu dzieła jednego z najpierwszych dzisiaj dramaturgów niemieckich.

Jan Szczepanik wstępuje podobno w związek małżeński z hiszpańską hrabianką Mercedes Cobera.

Burmistrz m. Buska, Jackowski, został zasuspendowany.

Budowę Seminaryum nauczycielskiego żeńskiego we Lwowie prowadzi p. August Bogochwalski w spółce, do której Franciszek Karpiński, ani Jan Naszkiewicz ani też Emilia Puffi nie należą.

Bankructwo. Sąd obwodowy w Tarnowie zawiadamia, że wdrożone zostało postępowanie konkursowe do majątku Małki Klapholz, nieprotokołowanej kramarki w Tarnowie.

Konkurs rozpisuje zarząd salinarny w Wieliczce na dwie posady starszych sztygarów i jednego dozorcy szybu z poborami 562 zł. 50 ct. Termin do 30 bm.

Pięćdziesiąta rocznica śmierci Słowackiego przypadła na drugi dzień Świąt Wielkanocnych. Przeszła ona cicho, bez obchodów uroczystych. W sobotę popołudniu w teatrze lwowskim odegraną będzie tragedya nieśmiertelnego tego wieszcza: „Mazepa". Szereg wielkich obchodów ku czci Słowackiego odbędzie się dopiero w porze, kiedy zwłoki wieszcza z paryskiego cmentarza na Monmartre przybędą na wieczny spoczynek w ojczystej ziemi, wśród największych królów i bohaterów, w katedrze na Wawelu. Chwila ta już niedaleka, kraj się do niej sposobi, i da Bóg, starania rodaków już rychło dopną celu.

Fundacya Skarbkowska. Otrzymujemy następujące pismo:

W sprawozdaniu sejmowem o fundacyi skarbkowskiej podniósł referent p. Rotter, że dzierżawcy fundacyjni zalegają ciągle z czynszami dzierżawnymi, że otrzymują znaczne opusty czynszu, a za odjęte im grunta w czasie dzierżawy wysokie otrzymują wynagrodzenia. Sprawozdanie to powoduje mnie do stanowczego oświadczenia, że z czynszem dzierżawnym wcale nie zalegam, opustu tenuty dzierżawnej od początku mojej dzierżawy, t. j. od 24-go czerwca 1889 r. wcale żadnego nie otrzymałem, ani też za odjęte grunta nie otrzymałem żadnej bonifikacyi, bo one nie zostały mi odjęte. Czynsz dzierżawny za majątek Brzozdowce od 24 czerwca 1889 jest wyższy o 3.000 złr. rocznie, niż mojego poprzednika.

Wiktor Korzenny, dzierżawca dóbr Brzozdowce.

Senat akademicki uniwersytetu lwowskiego ma zamiar w najbliższej przyszłości urządzić szereg popularnych wykładów, a to równocześnie w różnych częściach naszego miasta. Każdy prelegent, delegowany z grona profesorów uniwersytetu, obrać ma sobie pewien temat i w sześciu prelekcyach zupełnie go ukończyć. W tym celu odniósł się senat akademicki do Rady szkolnej krajowej o udzielenie zezwolenia użycia sal szkolnych szkół miejskich na rzeczone wykłady.

Nowa kandydatura. O mandat posła do Sejmu po śp. Wiktorze w Liskiem ubiega się oprócz pana Ludwika Ramułta także Ignacy hr. Krasicki, właściciel Liska i Bachórza.

Romans pięknej dziewczyny. Z Budapesztu donoszą: Skończyła tu samobójstwem piękność wiedeńska, nazwiskiem Ludwika Tanka, która miała za sobą burzliwą przeszłość. Należała do baletu wiedeńskiego, a potem jako Maryetta Tompelli zaczęła uprawiać zawód szansonistki. Z Wiednia udała się do Budapesztu, gdzie zdobyła sobie serce jednego z magnatów węgierskich i porzuciła deski sceniczne. Żyła wspaniale, co się zowie, poczem powróciła do Wiednia, gdzie zakochał się w niej bogaty Rumun, Joanescu. Z nim pojechała do Bukaresztu, gdzie się odbył ich ślub. Niestety, Tanka zdradziła swego męża i stała się kochanką jednego z attachés ambasady zagranicznej. Doszło do skandalu, poczem nastąpił rozwód i Tanka z kilku tysiącami franków w kieszeni opuściła Bukareszt. Pieniądze te ukradła swemu mężowi, który zawiadomił o tem policyę. Aresztowano ją w Budapeszcie i po rozprawie skazano na sześć miesięcy więzienia. Gdzie przebywała po odbyciu kary, niewiadomo. Niedawno przybyła w najzupełniejszej niemal nędzy z Wiednia do Budapesztu i zamieszkała na przedmieściu kątem u jakiegoś robotnika; z dawnej piękności nie pozostało ani śladu. Zniechęcona do świata wypiła pół litra esencyi ługowej i zmarła wśród strasznych cierpień.

Dla zawierania małżeństw. W Libawie powstało stowarzyszenie, mające na celu udzielać zapomóg swoim członkom, wstępującym w związek małżeński. Otrzymują oni po ślubie, stosownie do wniesionych wkładek zapomogi od 300 do 750 rubli. Do stowarzyszenia należą mężczyźni i kobiety.

Mareorama ma być jedną z największych ozdób wszechświatowej wystawy paryskiej r. 1900. Nazwa, jak i rzecz sama są zupełną nowością, jakkolwiek były już projektowane na wystawę roku 1889. Idzie tu o zgotowanie gościom przyjemności podróży morskiej na lądzie. Miasta portowe, jeziora i krajobrazy wybrzeży maluje malarz afiszów Hugo d'Alesi. Wiernie naśladowany, zaopatrzony w załogę parowiec towarzystwa Śródziemskiego, wypływać będzie z Marsylii, gdzie ma się roztaczać wspaniały widok na okolice; następnie przejeżdża przez Neapol, Sfaks, Wenecyę i Konstantynopol. U wjazdu do Neapolu, rybacy i rybaczki powitają parowiec tarantellą. W tunetańskiem mieście portowem Sfaks wsiada na okręt harem. Jazda trwać będzie około godziny. Malowidło panoramy zajmuje kilometr płótna, 15 metrów wysokiego. Orkiestra niewidzialna wygrywać ma na okręcie utwory, odpowiednie do charakteru miejscowości, przez którą parowiec będzie przejeżdżał. Jadło i napoje również zastosowane mają być do przedstawianych krain.

Czy mogą panny starać się o mężów? Pytanie to podała jedna z gazet berlińskich pod dyskusyę publiczną. Kwestya jest aktualna, odpowiedzi więc posypały się jak płatki śniegu. Rozmaite panie wychodziły z rozmaitych założeń. Jedne obstawały przy tem, aby i nadal pozostawiono mężczyznom prawo wyboru, drugie — bardziej podobno interesowane — chciały same wybierać dozgonnych towarzyszy. Nie brakło również i takich, których opinie w tej sprawie formalnie jeżą się od ciągłych: „gdyby, ale, na wypadek, jeżeli itd." Z pomiędzy tych wszystkich odpowiedzi jedna tylko zasługuje na uwagę, dzięki swej oryginalności. „Jeżeli wybór ma zasadzać się tylko na wypowiedzeniu swych uczuć wybranemu — pisze pewna dama — to pannie przysługuje ta sama wolność, co i mężczyźnie. Jeżeli jednak wypowiedzenie to ma zawierać propozycyę, aby ukochany wstąpił w związek małżeński to prawo takich oświadczyn przysługuje kobiecie tylko wtedy, gdy ma ona środki do utrzymania wybranego". Kobieta zatem, stojąca na takich wyżynach emancypacyi, może wybierać sobie męża swobodnie. Każda inna nie powinna pozbawiać się rady i współdziałania rodziców, których miłość, doświadczenie i środki materyalne nie przestały jeszcze odgrywać bardzo ważnej, jeżeli nie głównej roli w kojarzeniu się związków małżeńskich.

Przyjaciółka więźniów. W Paryżu zmarła Koralia Kahen, niewiasta, która podczas wojny francusko-niemieckiej nieposzlite Francyi oddawała usługi. Przed rokiem 1870-tym straciła męża i córkę, więc, gdy wybuchła wojna, postanowiła poświęcić wszystkie swe siły ojczyźnie. W pierwszych dniach rozpoczęcia kroków wojennych, pani Kahen osiadła w Metzu, jako przednicząca w komitecie opieki nad ranionymi. W czasie bitwy pod Borny mężna ta kobieta pod gradem kul ocaliła życie kilkuset ludziom. Gambetta powierzył jej następnie organizacyę szpitali wojskowych w Vendôme. Po Sedanie pani Kahen wyjechała do Niemiec, gdzie niosła pomoc więźniom francuskim. W r. 1872, chcąc przekonać się naocznie że na terytoryum niemieckiem nie pozostał ani jeden więzień francuski, zwiedziła z upoważnienia cesarzowej Augusty 62 fortec. Następnie cofnęła się do życia prywatnego, aż dopiero minister wojny Freycinet, znalazłszy w raportach dziennych z czasu wojny, liczne wzmianki o bohaterskich czynach tej kociety, dał jej w r. 1889 krzyż legii honorowej.

Samobójstwo literatki, Julianny Derry, wywarło w Berlinie wielkie wrażenie. Od pół roku mieszkała ona w pensyonacie na ulicy św. Macieja i miała zamiar w piątek się wyprowadzić. Wróciła w piątek wieczorem bardzo wzburzona i opowiadała, że się pokłóciła ze swym narzeczonym. Pod nieobecność właścicieli domu wyszła na balkon, rzuciła się na bruk i zginęła na miejscu. Panna Dery zaręczona była z młodym norweskim architektem. Zapowiedzi wyszły i ślub miał się odbyć 14 kwietnia. Dery chciała się poświęcić zupełnie życiu domowemu, porzucając literackie. Tymczasem przyszło do kłótni z narzeczonym, po której Dery powzięła zamiar odebrania sobie życia, podając za przyczynę troski miłosne. „Z tak lekkiem sercem umieram, jakbym szła na bal" pisze Dery. W liście zaadresowanym do dra Eliasza, historyka literatury, prosi o wystawienie jej sztuki „Burze Puszty" na wolnej scenie. Sztuki tej jednak nie przyjęto, pomimo, iż ma być napisalną genialnie, zwłaszcza akt pierwszy. Także p. Entsch, wydawca sztuk samobójczyni, otrzymał od niej list, w którym go prosi, aby wszystkie jej sprawy załatwił z jej bratem, inżynierem Dery, mieszkającym w Wiedniu. Pochodziła ona z Węgier, miała 35 lat wieku.

Lichy interes na apostazyi zrobił *Posener Ztg.* Był to dziennik wolnomyślny w duchu Richtera; gdy jednakże właścicielce dziennika, pani Röstel, hakatyści zagrozili gniewem swoim, pani Röstel odebrała redakcyę wolnomyślnemu p. Wagnerowi i oddała ją p. Goldbeckowi, który przyrzekł w walce przeciwko ludności polskiej stanąć obok hakatystów, i przyrzeczenia tego święcie dotrzymał. Tymczasem w ferworze hakatystycznym obraził p. Goldbeck wielce niewygodnego hakatystom, z powodu uczciwości politycznej, naczelnego prezesa W. Ks. Poznańskiego, bar. Willamowitza. Redaktor za tę obrazę został skazany na grubą karę, którą oczywiście poniesie wydawczyni. Nadto odebrano *Posener Ztg.* wszystkie ogłoszenia urzędowe, a dziennik stracił też niewątpliwie licznych prenumeratorów polskich, jakich dawniej miewał. Płacz i zgrzytanie zębów zapanowały w wydawnictwie, ale redakcya powiada, że o ogłoszenia upomni się choćby jej przyszło pójść do samego cesarza. I nie traci nadziei, że potężni jej opiekunowia hakatyści wesprą jej starania.

Zmarli. W Stanisławowie Waleryan Jurkiewicz, emer. oficyał pocztowy, lat 60. — W Przemyślu Marya Budzynowska, żona urzędnika dyrekcyi skarbu, lat 27. — W Kołomyi dr. Trziska, lekarz pułkowy z Żółkwi.

Stan powietrza. T. o g. 7 rano +4, w poł +10 R. Bar. 769. Spada. Pogoda.

W pracowni.

— No, jakże się panu podoba mój obraz „Pobojowisko?"

— Świetny, doskonały, co za natura, szczególnie ten umarły, to zupełnie jak żywy!

Jedna z prawd.

Gdy chcesz co pochwalić, nie znajdziesz partnera,
Choćby przy szukaniu zabrakło ci tchu,
Lecz, gdy chęć nagany bywa w tobie szczera,
Partnerów natychmiast znajdziesz nawet stu!

Repertuar teatru hr. Skarbka. Dziś we środę „Woźnica Henszel", sztuka w 5 aktach Hauptmana. We czwartek „Dzwony z Corneville", opera komiczna w 4 aktach Planquetta, drugi występ Heleny Miłowskiej i Heleny Schuppównej. W piątek „Woźnica Henszel". W sobotę po południu (ku uczczeniu 50-tej rocznicy śmierci Juliusza Słowackiego) „Mazepa", tragedya w 5 aktach Juliusza Słowackiego, wieczorem po cenach zniżonych „Faust", opera w 5 aktach Gounoda, debiut Ady Dąbrowskiej. W niedzielę po południu „Pamela", wieczorem „Dzwony z Corneville". W poniedziałek (wznowienie) „Wielki człowiek do małych interesów", komedya w 5 aktach Al. hr. Fredy, ojca.

Znaleziono pugilares na wystawie obrazów Styki w Domu Narodnym. Właściciel zechce się zgłosić w Zarządzie wystawy.

Korespondencya Redakcyi. *Wny Pan K. D. w Podusilnej.* Chętnie zamieścilibyśmy, lecz obecnie, gdy hasło „Los von Rom" przebiega monarchię, w owej sprawie głosu zabierać nie uważamy za właściwe. Ale przy sposobności, gdyby się jaka nadarzyła, możnaby nawiązać. Tak zaś trudno.

W ogłoszeniu Zarządu dóbr Sidorów, umieszczonem temu kilka dni w naszem piśmie, zaszła pomyłka drukarska: Zarząd ten sprzedaje groch „Victoria" po *11 złr. 80 ct.* za sto klgr., a nie po *10 złr. 80 ct.*, jak mylnie ogłoszono.

Literatura i sztuka.

+ Z teatru. Wczoraj wznowiono Planqueta „Dzwony z Corneville" jedną z lepszych operetek francuskich, która przed laty cieszyła się nadzwyczajnem powodzeniem na lwowskiej scenie, grano ją bowiem przeszło sto razy z rzędu przy zawsze wysprzedanym teatrze. Melodyjna i z talentem napisana operetka ściągnęła wczoraj również sporo publiczności, a debiut pań Heleny Miłowskiej i Heleny Schuppównej, uczenic prof. Walerego Wysockiego, przyczynił się niemało do podniecenia ciekawości w naszych sferach teatralnych. Profesor Wysocki, który przysporzył lwowskiej scenie wiele sił użytecznych, może i tym razem być wielce zadowolonym ze swych uczenic, gdyż pierwszy ich występ wypadł nadspodziewanie dobrze. P. Schuppówna wykazała w roli Dziewanny dobrą szkołę, pewność muzykalną i wiele zrozumienia, mały jej głosik intonował zawsze nadzwyczaj czysto i wywiązał się ze swego zadania doskonale. Na największe uznanie zasługuje pewność debiutantki pod względem gry scenicznej, zadziwiająca jak na pierwszy występ. W mimice i w ruchach debiutantki dostrzegliśmy tu i ówdzie nieco przesady, nie wątpimy jednak, że dalsze występy utalentowanej adeptki sztuki, wolne od nieodłącznej debiutowi tremy, nadadzą jej grze cechę spokoju, a usuną ową zbytnią i nerwową ruchliwość, która przebijała się w niektórych scenach, zwłaszcza podczas ustępów wypowiedzianych prozą. Niemniej dobrze wypadła rola Germany w interpretacyi p. Miłowskiej. Ładny głos i widoczny talent sceniczny rokują debiutantce powodzenie w dalszej karyerze, moglibyśmy jedynie zarzucić p. Miłowskiej nieco chwiejną intonacyę w niektórych ustępach, brak dający się łatwo usunąć, jeżeli pochodził tylko z tremy pierwszego występu. Podnieść należy natomiast z uznaniem doskonałą dykcyę debiutantki, która podniosła niemało dodatnie wrażenie jej debiutu. Publiczność oklaskiwała serdecznie pierwsze kroki debiutantek, które przynoszą ze sobą na scenę trzy skarby nieocenione: talent, młodość i czarującą powierzchowność.

Nasi artyści operetkowi panowie: Bogucki, Myszkowski, Malawski i Kratochwil wywiązali się świetnie ze swego zadania, śpiewali bez zarzutu, a grali z werwą i z humorem. Zwłaszcza p. Bogucki odśpiewał swe ustępy solowe z wielkiem powodzeniem, gdyż potrafił dodać im sporo uczucia i nastroju poetycznego, natomiast swym kostyumem wypowiedział wojnę logice operetkowej. Trudno bowiem zgodzić się, aby margrabia francuski, powracający z kilkuletniej podróży w charakterze kapitana okrętu, chodził przez trzy akty w stroju włoskim Romea lub księcia Ferrary z „Lucrezyi Borgii", gdyż kostyum tego rodzaju w Normandyi za czasów Ludwika XIV zupełnie był nieznany, a w dłuższej podróży morskiej dla kapitana okrętu z wielu względów byłby niepraktycznym. Dziwimy się, że błąd tego rodzaju mógł ujść uwadze reżyseryi. Orkiestra i chóry pod kierownictwem kapelmistrza p. Słomkowskiego nie pozostawiały nic do życzenia.

Fr. Neuhauser.

Z izby sądowej.

Lwów, 5 kwietnia.

(Szajka złodziei).

Dziś przed sądem przysięgłych stanęła szajka 5 złodziei, przeważnie notorycznych. Głównym obwinionym jest Jan Baran, który we wrześniu zeszłego roku okradł księdza rz. kat. w Zborowie. Jego pomocnikiem w tej i w innych kradzieżach był Franciszek Kukiz, a spieniężaniem kradzieży zajmowała się trójka żydowska: Izaak Baur, Leib Wecker i Estera Leder, wszyscy z Krystynopola. Otrzymane od Barana kielichy i patyny, pochodzące z kradzieży po kościołach, łamali oni na kawałki, aby je łatwiej módz odsprzedać.

Prócz tego wstrętnego faktu, że dwaj chrześcianie na spółkę z żydami dopuścili się świętokradztwa, akt oskarżenia nie zawiera nic znamiennego, ani interesującego, chyba wyrażanie Kukiza, który opowiadając jakiemuś chłopowi o Baranie rzekł: „To dobry chłopiec bo dopiero 3 miesiące temu wyszedł z kryminału".

Rozprawa rozpoczęła się przesłuchiwaniem Barana. Złoczyńca ten, krępy, niskiego wzrostu, z sumiastym wąsem, przyznaje się do wszystkiego i opowiada wszystkie szczegóły powolutku, z niesłychaną flegmą, nawet bez najmniejszego śladu cynizmu.

Rozprawa trwać będzie 3 dni.

* * *

Rzym 2 kwietnia.

(Miły rządca.)

W tych dniach zakończył się sensacyjny proces, który od dość dawna toczył się przed sądem tutejszym. Oskarżonym był adwokat Cannella, rządca dóbr księżnej Maryi La Grua di Carini, o zbrodnię pozbawienia wolności, popełnioną na swej chlebodawczyni. Oto dnia 20 grudnia 1897 otrzymał doradca prawny księżnej list od niej, donoszący mu, że rządca jej trzyma ją wraz z córką w niewoli. Doniesiono o tem władzy i bezzwłocznie udała się komisya sądowa do pałacu Carina. Brama była zamknięta. Przystawiono tedy drabinę do otwartego okna na pierwszem piętrze i tą drogą urzędnicy dostali się do pałacu. Pokoje tego niegdyś wspaniale umeblowanego gmachu były prawie puste. Księżna wraz z ociemniałą córką zamieszkiwała jeden nędzny pokój na lewem skrzydle. Ujrzawszy prokuratora, księżna z radości padła na kolana i chciała wybawcę swego całować po rękach. Córka leżała w łóżku, przed którem stał stolik z resztkami strawy. W pokoju obok Cannela czuwał dniem i nocą nad więźniami; w jego nieobecności musiał go w tym wyręczać odźwierny pałacu. W pokoju Canneli znaleziono pakę papierów rentowych własności księżnej, oraz testament jej, ustanawiający go spadkobiercą większej części majątku.

Proces wykazał, że Cannela utrzymywał z księżną, mimo jej podeszłego wieku, stosunek miłosny; później, gdy oboje się poróżnili i gdy księżna chciała go oddalić, zagroził jej skandalem i w ten sposób uzyskał nad nią nieograniczoną władzę. Wreszcie raz pod nieobecność Canneli udało się uwięzionej napisać ów wspomniany wyżej list do adwokata.

Sąd skazał Cannelę na 6 lat i 2 miesiące więzienia.

Część ekonomiczna.

Sprawozdanie banku rolniczego. Lwów, dnia 5-go kwietnia 1899.

Tendencya zniżkowa trwa u nas dalej. Na giełdach zagranicznych znaczna deruta.

Dziś notujemy za 100 kilogramów loco Lwów: Przenica gotowa 9·— do 9·50, przenica nowa lub na termina 0·— do 0·—, żyto gotowe 7·— do 7·50, żyto nowe lub na termina 0·— do 0·—, owies obroczny stary 0·— do 0·—, owies nowy gotowy 6·25 do 6·50, jęczmień pastewny 5·50 do 6·—, jęczmień browarniany 6·50 do 7·50, rzepak 10·50 do 11·—, lnianka 0·— do 0·—, groch pastewny 5·70 do 6·—, groch do gotowania 6·50 do 8·—, wyka 5·— do 5·50, bobik 5·— do 5·50, hreczka 7·50 do 8·50, kukurudza nowa na termina 0·— do 0.—, kukurudza stara 5·— do 5·30, chmiel nowy za 56 klgr. —·— do —·—, koniczyna czerwona 45·— do 55·—, koniczyna biała 30·— do 50·—, koniczyna szwedzka 50·— do 55·—, tymotka 17·— do 20·—, spirytus paritas Tarnopol gotowy 15·— do 15·25, spirytus na termina 16·— do 16·50.

§ **Wiedeń** 4 kwietnia. Na poniedziałkowy targ zwieziono bydła rogatego na rzeź ogółem 4312 sztuk; w tej sumie było z Galicyi 602, z Bukowiny 60. Przebieg targu leniwy. Ceny spadły o 1 zł. Z całego spędu pozostało niesprzedanych 122 sztuk. Wołów z Galicyi i Bukowiny sprzedano: 92 sztuk po 26—29 zł., 388 sztuk po 30—33, 171 sztuk po 34—36, 29 sztuk po 37—38 zł., licząc za centnar metryczny żywej wagi. Buhaje podtuczone bez różnicy pochodzenia kupowano po 25 do 32 zł., krowy podtuczone po 25—30 zł., bydło chude dla masarzy po 17 do 24 zł. także za centnar metryczny żywej wagi.

§ **Sprawozdanie z targu zbożowego na Kleparzu.** Kraków 4 kwietnia.

Dzisiejszy targ zbożowy odbył się w usposobieniu słabem, a pod wpływem wiadomości z targu peszteńskiego, gdzie wskutek nagromadzenia ogromnych zapasów pszenicy ceny zwłaszcza poślednich gatunków znacznie się obniżyły. Obok tego miejscowe stosunki odbytowe są również dosyć trudne, gdyż młyny mają jeszcze dostateczne zapasy zboża i mąki. Z tych przyczyn ceny nie zdołały się utrzymać, a zwłaszcza gorsze gatunki pszenicy napotykały odbyt trudny. Toż samo dotyczy żyta i jęczmienia. Owies trzyma się niezmiennie.

Płacono: pszenicę białą od 9·00—9.50, czerwoną 9.— do 9.70 złr., żółtą 9.00 do 9.65 złr., żyto 7·60 do 8.40 złr., jęczmień browarny 6.75 do 7·25 złr., na krupy 6.25 do 6.50 zł., owies 6.50 do 6.90, rzepak —.— do —.— złr., konicz czerwony —.— do —.— złr., biały —.— do —.— zł., kukurudza —.— do —.— złr. wszystko za 100 kilogramów.

Gal. Bank dla handlu i przemysłu.

§ **Wiedeń** 5 kwietnia. Walne zgromadzenie Anglobanku zatwierdziło postanowienia rady zawiadowczej co do zużytkowania czystego zysku w kwocie 1,977.286 zł. i co do rozdziału dywidendy po 8 zł. od akcyi

§ **Budapeszt** 5 kwietnia. Stan zasiewów z dniem 1 kwietnia. Wskutek pogody w ostatnich tygodniach na ogół poprawiły się oziminy, natomiast w wielu miejscowościach ucierpiały wczesne zasiewy jare. Stan ozimej pszenicy na ogół zadowalający. Deszcz niezbędny.

Telegramy „Przeglądu".

Wiedeń 5 kwietnia. Do *Polit. Correspondenz* donoszą z Rzymu, że Papież od czasu jak zachorował nie opuścił ani razu swego pokoju sypialnego i że z powodu osłabienia nie może zajmować się żadnemi sprawami kościelnemi. To osłabienie jest jedynym powodem trosk otoczenia i obaw co do stanu Papieża. Nadchodząca zmiana pory roku zwiększa niebezpieczeństwo. Wobec tego wszelkie ważniejsze sprawy między innemi także sprawa zwołania konsystorza pozostają w zawieszeniu.

Wiedeń 5 kwietnia. Ambasador turecki zaprzecza wiadomości o walce stoczonej między Turkami i Bułgarami na granicy turecko-bułgarskiej koło miejscowości Kyzel-Agats.

Wiedeń 5 kwietnia. Do *Wiener Allg. Ztg.* donoszą z Petersburga, że tam obawiają się, iż car rozgniewany ponowieniem się niepokojów studenckich, zarządzi zamknięcie uniwersytetu na cały rok.

Petersburg 5 kwietnia. Poświęcenie nowej cerkwi dla ambasady rosyjskiej w Wiedniu dokona przed świętami Wielkanocnemi st. st. za zezwoleniem cara archijerej warszawsko-chełmski Hieronim. W tym celu przybędzie wkrótce do Wiednia w asystencyi duchownych i śpiewaków chóru prawosławnego.

Berlin 5 kwietnia. *Localanzeiger* donosi, że w tym miesiącu wyrusza z Petersburga wielka ekspedycya rzekomo naukowa do Azyi centralnej pod przewodnictwem Kozłowa. Głównym jej celem mają być badania astronomiczne i przyrodnicze. Car z własnej szkatuły przeznaczył na koszta wyprawy 50.000 rubli. Ekspedycya przezimuje w pustyni Gobi i uda się potem do kraju nadtybetańskiego.

Berlin 5 kwietnia. Bankier Riese, współwłaściciel domu bankowego firmy Rudolf Pohl, umknął, sprzeniewierzywszy znacznej wartości depozyty i gotówkę. Sumę przezeń zdefraudowaną oceniają na trzy do czterechkroć stutysięcy marek.

Rzym 5 kwietnia. Z powodu śmierci arcyksięcia Ernesta zarządził król 40-dniową żałobę dworską.

Rzym 5 kwietnia. *Popolo Romano* donosi, że Visconti Venosta, minister spraw zagranicznych, jest upatrzony na pierwszego delegata Włoch na konferencyę w sprawie rozbrojenia.

Budapeszt 5 kwietnia. Budapeszteńskie biuro korespondencyjne upoważnione zostało ze strony jak najbardziej kompetentnej do oświadczenia, że przypisywana Banffy'emu broszura o polityce narodowościowej we Węgrzech nie pochodzi od niego i że on z nią nic nie ma wspólnego.

Wiedeń 5 kwietnia. *Neues Wiener Tagblatt* donosi, że parlamentarna komisya prawicy ma być powołaną na dzień 14 kwietnia.

Dzienniki donoszą z Berlina, że trzech Polaków, pochodzących z Królestwa polskiego, a mianowicie: Czyżewskiego, Parczaka i Lwowskiego, kupca z Warszawy, wydalono z granic państwa pruskiego.

Paryż 5 kwietnia. Dziś otwarto testament baronowej Hirszowej. Fundacye znajdujące się w Austro-Węgrzech otrzymały razem 7 milionów zapisu, z czego na fundacyę br. Hirsza w Galicyi przypada 3 miliony.

Konstantynopol 5 kwietnia. Wiadomość o nocie tureckiej z powodu traktatu co do Afryki pomiędzy Anglią a Francyą nie potwierdza się. Tyle jest prawdziwem, że Porta przez swych ambasadorów w Londynie i Paryżu wystosowała zapytania w tej sprawie i zażądała dosłownego tekstu umowy, powołując się przytem na międzynarodowy akt w sprawie Konga z r. 1885.

Paryż 5 kwietnia. *Figaro* ogłasza dziś koniec protokołu zeznań świadka Rogeta, zawierający długie wywody, dlaczego Dreyfussa należy uważać za autora bordereau.

Konstantynopol 5 kwietnia. Patryarcha katolicko-ormiański wręczył wczoraj wielkiemu wezyrowi protest przeciwko oskarżeniom, zawartym w liście pasterskim patryarchy kościoła ormiańsko-gregoryańskiego.

Budapeszt 5 kwietnia. Izba posłów sejmu węgierskiego zebrała się dziś po raz pierwszy po świętach. Prezydent zagajając posiedzenie, poświęcił wspomnienie pośmiertne arcyksięciu Ernestowi.

Rzym 5 kwietnia. Dziennik *Messagero* donosi, że osłabienie Papieża wzrasta ciągle, tak, że chociaż niema bezpośredniego powodu do obaw, to jednak osłabienie owo jest niepokojące. Ażeby nie trwożyć Papieża, dozwolono odwiedzać go obcym, jednak wizyty te mogą trwać bardzo krótko i zaledwo co dwa lub trzy dni. Wspomniany dziennik donosi wreszcie, że kardynałowie, sprawujący prefektury kongregacyi, upoważnieni zostali do rozstrzygania spraw, zastrzeżonych samemu Papieżowi.

NADESŁANE.

Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona za nią na siebie żadnej odpowiedzialności.

Lwów 4 kwietnia. (Z Izby handlowej).

Akcye za sztukę: Kolej gal. Karola Ludwika 200 zł. m. k. 310 — do 312·— Kolej Lwowsko-Czern.-Jasska po 200 zł. w. a. 292 50 do 296 00. Banku hipotecznego po 200 zł. w. a, 375 — do 385·—. Akcye garbarni w Rzeszowie po 200 zł. w. a. 205· — do 213·—. Tow. budowy wagonów w Sanoku 258·— do 265·—. Banku dla handlu i przemysłu po 200 zł. 200 00 do 201·00.

Listy zastawne za 100 złr. Banku hipot galic. 5 proc. losy w 50 lat. z 10 proc. prem. 110.20 do 110 90 4 i pół proc. los. w 50 lat 100. — do 100·70, 4 proc. los w 60 lat 96.50 do 97·20. Banku kraj 4 i pół proc los w 61 lat 101 — do 101·70. Banku kraj. 4 proc. los w 57 lat 98·— do 98·70. — Tow. kred. gal ziemskie 4 proc (I emisya) 97.50 do 98 20, 4 proc. los w 41 i pół latach 97·50 do 98·20, 4 proc. los w 56 lat 95·70 do 96·40.

Wiedeń 5 kwietnia. (Giełda towarowa). Spirytus 17·30—17·70. Nafta galicyjska bez zmiany. Cukier surowy 13·175—13·225.

Berlin 5 kwietnia. (Zamknięcie giełdy). Banknoty austryackie 169·60. Spirytus 40.—.

Paryż 5 kwietnia. (Zamknięcie giełdy). Trzyprocentowa renta 101·95. Mąka na miesiąc bieżący 45·—.

Frankfurt 5 kwietnia. (Wczorajsza giełda wieczorna). Kredyty austryackie 231·60; kolej państwowa 155·60; alpiny 000·00; disconto 194·90; laura 238·95.

Wiedeń 5 kwietnia. (Giełda zbożowa). Pszenica na wiosnę 8·83—8·84, na maj-czerwiec 8·72—8·73, na jesień 8·22—8·24; żyto na wiosnęsnę 7·62—7·64, na maj-czerwiec 0·00, na jesień 0·00; kukurudza na maj-czerwiec 4·71—4·72, na czerwiec-lipiec 0·00, na lipiec-sierpień 0·00; owies na wiosnę 6·02—6·03, na maj-czerwiec 0·00, na jesień 0·00; rzepak na sierpień-wrzesień 12·10—12·20; olej rzepakowy na kwiecień-maj 32—33, na wrzesień-grudzień 0·00. Tendencya lepsza. Pogoda: pochmurno.

Budapeszt 5 kwietnia. (Giełda zbożowa). Pszenica na kwiecień 8·91—8·93, na maj 8·80—8·82, na październik 8·18—8·19; żyto na kwiecień 7·45—7·46; kukurudza na maj 4·40—4·41; owies na kwiecień 5·68—5·70; rzepak na sierpień 11·80—11·90. Popyt na pszenicę dobry. Tendencya mierna. Pogoda: piękna.

34)

Tajemnicze morderstwo

POWIEŚĆ

przez

Fortunata du Boisgobey.

(Ciąg dalszy).

— Mogę na to liczyć? doprawdy? — zapytała hrabina z niezwykłą u siebie żywością.

— Czy przypuszczasz, że go się lękam?

— Nie, nie o niego mi chodzi — podchwyciła Carmena. — Gdybyś go miał za przeciwnika, ja byłabym w obawie. Przed chwilą, dowiedziawszy się od Cory, że idziesz na plac ze szpadami pod pachą, doznałam strasznej, niepojętej trwogi.

— Czy wchodziłaś na strych, aby się przyjrzeć walce? — spytał Gouville.

— Nie, posłałam tam Corę. Wróciła po chwili, donosząc, że jesteś tylko sekundantem.

— I nie ciekawa byłaś przyjrzeć się tym zapasom?

— Nie; ci, którzy narażali swe życie, byli mi najzupełniej obojętni.

— Pojmuję, że Roscauval; ale p. d'Ambre? Sądziłem, że masz dla niego dużo przyjaźni — rzekł podstępnie Gouville, pragnąc wyciągnąć ją na zwierzenia.

— Dajmy temu pokój, proszę cię — rzekła chłodno hrabina. — Powiedziałam ci w tym przedmiocie to, co ci chciałam powiedzieć.... O nic więcej nie pytaj... a jeśli chcesz, abym uwierzyła w twoją .. miłość, nie znajduję na to innego określenia, odpowiedz mi szczerze na jedno pytanie...

— Jestem na twoje rozkazy.

— Słuchaj, Jakóbie — mówiła kreolka, głosem miękkim, pieszczonym. — Dajesz mi wszelkie prawo przypuszczać, iż nie pragniesz zerwania naszego związku i ja także nie mam podobnego zamiaru, lecz być bardzo może, iż zostanę zmuszona opuścić Francyę..

— Zmuszona? Więc wolną nie jesteś?

— Odpowiedz wpierw na moje pytania; potem możesz zadawać mi je w zamian. I cóż byś zrobił, gdybym odjechała?

— Towarzyszyłbym ci, ma się rozumieć — odparł Gouville bez wahania. — Nie jestem wprawdzie takim obieżyświatem, jak mój przyjaciel Percey i jak p d'Ambre, lecz lubię bardzo podróże, a jeśli nie często używam tej przyjemności, to dlatego tylko, że jeździć samemu nudno. Z tobą wszelki wojaż byłby prawdziwą rozkoszą. Zbliża się właśnie zimowy sezon we Włoszech. Czy chcesz przepędzić go w Sorrento, w cieniu drzew pomarańczowych? Pozostaw mi tylko sześć tygodni dla uregulowania interesów.

Jakób nie miał wszakże na myśli interesów własnych.

— Sześć tygodni — powtórzyła hrabina z goryczą. — Więc to nazywasz szałem. Przed zrobieniem dla mnie głupstwa, musisz się namyślać blisko dwa miesiące. Wiedz zatem, mój drogi, że mój wyjazd z Paryża zdecyduje się w dwadzieścia cztery godzin. A wtedy: Qui m'aime me suive!

— Wtedy też pójdę za tobą. I ja także lubię projekta nagłe.

— Wystawia mnie na próbę — myślał w duchu Gouville. — Gdybym odpowiedział przecząco, gotowaby zrobić mi scenę. Lepiej obiecać. Nie zobowiązuje to do niczego.

Spodziewał się, że za takie ustępstwo Carmena obsypie go pieszczotami; ona jednak siedziała smutna i zadumana.

— Nie idzie tu o wycieczkę do Włoch ani o spędzenie zimy pod południowem niebem — rzekła po chwili.

— Czy zamierzasz objechać świat naokoło w sześćdziesiąt dziewięć dni dla zakasowania fantastycznego bohatera z powieści Vernego?—zapytał wesoło Gouville.

— Nie pojmujesz mnie, czyli raczej nie chcesz mnie pojąć.

— Dopomóż mi więc do rozwiązania tej zagadki.

— Gdybyś mnie kochał, domyśliłbyś się odrazu, że nie mówię o podróży sam na sam, jak para małżonków, którzy strawiwszy miodowe miesiące na wędrówce po hotelach, wracają reszcie do domowego ogniska.

— Taka podróż z tobą miałaby urok niewypowiedziany.

— Podróż, o jakiej myślę, trwać będzie bez końca.

— Tam do licha! — pomyślał Gouville — czyż chciałaby, abym nie opuścił jej aż do śmierci? Taka propozycya wymagałaby dłuższego namysłu.

— A więc — dodał wesoło — wynalazłaś coś w rodzaju „perpetuum mobile“?

— Jesteś nieznośny. Widzę, że nie zasługujesz, aby cię brać w rachubę, to też postąpię według własnego widzimisię... Poznałam teraz twoją wartość.

Carmen przebrała miarę niezasłużonych wyrzutów.

Jakób miał już na ustach słowa ostre, lecz ich nie wypowiedział, po części przez wzgląd na niezwykłe rozdrażnienie pani de Salazie, w głównej jednak mierze przez wyrachowanie.

Chciał zbadać pobudki tej niczem nieuzasadnionej sprzeczki.

Byłże to pretekst dla zerwania z nim stosunków?... lub może namiętna kreolka miała jakiś inny cel, którego na razie Gouville nie mógł się dopatrzeć. Bądź co bądź, pewien był, iż wypadki i zdarzenia, zaszłe tego rana pozostawały w związku ze złym humorem i nagłą zmianą projektów Carmeny.

— Sam nie wiem za co spotykają mnie te zarzuty — rzekł. — Powiedz przynajmniej, czego się po mnie spodziewasz.

Patrzyła nań bacznie, chcąc jakby przeniknąć myśli jego do głębi. Po chwili milczenia rzekła:

— Jeśli opuszczę Francyę, to na zawsze. Czy rozumiesz mnie teraz?

Gouville aż nadto dobrze pojmował.

Było to ni mniej ni więcej, jak wezwanie do emigracyi. Usiłował jednak wykręcić się sianem.

Nie kochasz mnie — rzekł — nigdy mnie nie kochałaś. Byłem dla ciebie zabawką jedynie. Dziś już cię cacko nie bawi, więc je odrzucasz... znajdziesz inne niebawem.

— Jeśli sądzisz, że odjeżdżałabym, gdybym nie była do tego zmuszona, to mnie widocznie nie znasz. Nie mogę jeszcze wyznać ci wszystkiego, lecz wiedz o tem, że wkrótce ujrzę się zapewne w konieczności opuszczenia na zawsze Francyi, a nawet Europy. Czy pojedziesz ze mną?

— Na wyspę św. Maurycego? I owszem — odparł Gouville. — Jestto bliżej niż do Tonkinu, a i miejscowość ładniejszasza, sądząc z opisu Bernardina de Saint Pierre.

— Czy zechcesz mi towarzyszyć na wyspę św. Maurycego lub gdziekolwiekbądź bez żadnej nadziei powrotu? Żądam od ciebie ofiary całego życia.

— Byłby to smutny podarek. Nie mam prawa wiązać mojej nędznej egzystencyi z twoją.

— A jeśli ja to uważam za najwyższe szczęście dla siebie? Odpowiesz mi może, że masz tutaj rodzinę, stosunki.

— Nie, bo jestem wolny, jak ptak. Muszę jednak liczyć się z mojem otoczeniem, z opinią publiczną. Plemiona dzikie jedynie gotowe są zawsze do wędrówek. My oboje należymy do świata cywilizowanego. Trzyma on nas żelaznemi kleszczami.

— Ja nim pogardzam, depczę wszelkie jego przesądy.

— I ja również drwię z przesądów, lecz szanuję obowiązki... a obowiązkiem jest radą i czynem wspierać przyjaciół.

— Przyjaciół?... gdzież oni są? — zawołała porywczo Carmena.

— Przyjacielem jest mi przedewszystkiem Paweł de Pontcroix. Od dzieciństwa łączy nas serdeczny, braterski niemal węzeł. Otóż Paweł potrzebuje teraz mojej pomocy. A nie mogę także opuścić Mériadeca i jego siostry.

— Wszak nie jesteś żadnym krewnym Roscauvalów, ani też opiekunem p. de Pontcroix.

— Zapewne. Lecz Mériadec pozostawiony samemu sobie robiłby same głupstwa... zajście jego dzisiejsze z baronem źleby się skończyło, gdyby nie moja interwencya. Przytem siostra jego postanowiła nie wychodzić za mąż, dopóki nie pomści śmierci ojca, ja zaś postanowiłem ją wyleczyć z jej przywidzeń i egzaltacyi. Skoro poślubi swego kuzyna, nie pozostanie mi jak życzyć im szczęścia i licznego zastępu dziatek; lecz dopóki nie przyprowadzę ich do ołtarza, niepodobna mi wypuścić ich z pod mojej opieki.

Oświadczenie to było tak szczere i dobroduszne, że rozbroiło zupełnie hrabinę ku wielkiemu zadowoleniu Gouvilla, który pragnął jak najprędzej wyjść z trudnej sytuacyi, w jakiej go postawiła Carmena, proponując dozgonne ze sobą pożycie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Redaktor odpowiedzialny: Wacław Masłowski. — **Papier z fabryki Czerlańskiej.** — **Drukarnia Narodowa Stanisław Maniecki i Spółka — Lwów Hotel George.**